6 STRON · *NUMER POŚWIĘCONY II ZJAZDOWI DELEGATÓW SPK* · CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień · ***Dnia 21 czerwca 1947 r*** · **Rok IX. Nr. 24**

WSPÓLNYMI SIŁAMI

ISTNIENIE i działalność Stowarzyszenia Polskich Kombatantów budzi u ogółu polskiego wychodźstwa mieszane uczucia: obok dobrych — złe, obok entuzjazmu — niechęć. Nastrój chwili, kolor uczuć politycznych, poddawanie się opinii-plotce, fałszywy idealizm, lenistwo i niechęć dociekania prawdy — oto część z gamy powodów, które każą nam widzieć rzeczy albo jako złe i beznadziejne albo jako bezspornie dobre i piękne. Tymczasem miarą oceny musi być rozbiór, bilans, sumowanie spraw, rzeczy i czynów.

W krótkim artykule nie można podać wszystkich elementów, składających się na ocenę istnienia i działalności Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Dla ludzi dobrej woli i bez uprzedzeń wystarcza wskazanie kierunków szukania właściwych ocen i naszkicowanie elementów, składających się na pełny obraz. I tak należy traktować te uwagi.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów powstało bezpośrednio po wycofaniu uznania Rządowi R.P., jesienią 1945 r. i w chwili kiedy Polskie Siły Zbrojne stanęły w obliczu rychłej demobilizacji. Rzucone wówczas hasło samopomocy wystarczyło tylko na to, by w najszerszych masach żołnierskich zasiać z jednej strony niepokój z powodu zapowiedzi likwidacji form dotychczasowego działania w ramach wojska, z drugiej, by żołnierz polski zaczął szukać ratunku w wierze we własze siły, pomnożone o siłę zorganizowanej zbiorowości. Sprecyzowanie celów i bliższych zadań, wybór sposobów ich realizacji i wreszcie określenie sylwetki i charakteru Stowarzyszenia miało przyjść dopiero po konfrontacji z rzeczywistością i po sumiennym jej rozważeniu.

Tymczasem żołnierz polski w Szkocji, we Włoszech, Niemczech, Francji i na Bliskim Wschodzie popadł w drugą skrajność: nie pytał, jakie trudności ma Stowarzyszenie, co robi i co może zrobić, ale — co powinno. Na własną odpowiedzialność wymarzył sobie sylwetkę Stowarzyszenia wszechmogącego i wszechpotężnego. Wprawdzie wiedział doskonale, że w łatwiejszych okresach wojennych Rząd i Siły Zbrojne, posiadające sztaby pracowników, środki materialne, tradycję pracy i uznanie innych rządów, nie były w stanie z powodów zewnętrznych rozwiązać wielu spraw wychodźczych, ale wierzył, że mimo braku środków materialnych, mimo niewypracowanych form organizacyjnych, mimo braku pracowników i rutyny pracy i mimo wreszcie krótkiego czasu dzielącego od powstania — Stowarzyszenie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, rozwiąże wszystkie problemy jednostkowe i zbiorowe wychodźstwa. Kilkadziesiąt czy kilkaset tysięcy ludzi oczekiwało od Stowarzyszenia rychłego i pomyślnego rozwiązania spraw, z którymi nie mogą się po wojnie uporać rządy niepodległych państw, gospodarujących wszystkimi zasobami i środkami suwerennego kraju.

I czy mimo naporu od dołu fali tych pobożnych życzeń a później: rozczarowań i ostrej krytyki — koleje rozwoju Stowarzyszenia mogły być inne, niż były? Próby odpowiedzi na te pytania należy szukać w rozbiorze wielu elementów.

Z chwilą wycofania przez państwa anglo-saskie uznania Rządowi R.P. i zapowiedzi rozwiązania i demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych, polskie wychodźstwo wojenne przechodzi jeden z najtrudniejszych okresów. Niedawna urzędowa niejako organizacja emigracji musi być zastąpiona organizacją dobrowolnych związków społecznych, przejmujących na siebie częściowo zadania organów administracji rządowej i wojska. Podział ról i zadań okazuje się nieodzowny i konieczny. Potrzeba harmonijnego współdziałania i uzgodnienia na wszystkich szczeblach staje się warunkiem powodzenia wszelkiej akcji.

Powstające w tym okresie SPK musiało ustalić problematykę, hierarchię potrzeb i kolejność wykonania pracy. W zarysie krzywa tego rozumowania szła szczytami następujących przesłanek myślowych. Organizujące się Stowarzyszenie, nie będąc ani parlamentem ani sejmem emigracji, nie jest zdolne do przejęcia całej problematyki wychodźstwa, spoczywającej do niedawna wyłącznie na barkach Rządu i Sił Zbrojnych. Do chwili kiedy pracują organa administracji rządowej, komórek wojska a potem PKPR, i kiedy działają jeszcze organa fachowe powołane do rozwiązywania spraw wychodźstwa — Stowarzyszenie musi z nimi jak najściślej współpracować i przychodzić im z pomocą.

A więc nie podejmując samo rozwiązywania np. spraw zatrudnienia, szkolenia zawodowego i osiedlenia, Stowarzyszenie poszło na ścisłą współpracę z wszystkimi organami polskimi i obcymi, które w tych sprawach miały cokolwiek do powiedzenia. Takie postawienie sprawy ułatwiło zajęcie się tymi sprawami, które z punktu widzenia przyszłości organizacyjnej były decydujące. Wśród wielu, do ich rzędu należały następujące zagadnienia.

Budzące się do życia Stowarzyszenie musiało poświęcić wiele czasu i uwagi s p r a w o m o r g a n i z a c y j n y m. Stworzenie odpowiedniej budowy organizacyjnej i ujęcie w przeciągu kilkunastu miesięcy tysięcznych rzesz byłych kombatantów rozsianych po świecie, było zagadnieniem przerastającym siły zespołu kilkuosobowego, działającego w rocznym okresie czasu. Wypracowanie w tym przejściowym organizacyjnym okresie struktury Stowarzyszenia na długą falę stało się pilną koniecznością. Wiele trudu i wysiłku trzeba było włożyć nie tylko w opracowanie tez statutowych, ale głównie i przede wszystkim w próbę rzeczywistego powiązania w jedną całość kolegów z Niemiec (z Września i A.K.), z Włoch, Francji i Szkocji. Żyjąc do niedawna tradycją swych oddziałów i w skrajnie różnych warunkach, nie zawsze byli oni skłonni ułatwiać proces ujednostajniania organizacji.

Dalej — działalność Stowarzyszenia musiała być nastawiona na okres najgorszy t.zn. na czas, kiedy skończą się pod każdą postacią formy wojska i PKPR, kiedy stopnieją nawet szczupłe fundusze, zasilające akcje inicjowane przez sztaby, związki i organizacje i kiedy byli kombatanci znajdą się w rozproszeniu, na różnych terenach osiedleńczych, bez organizacji wojskowej i opieki z zewnątrz. Ta myśl nastawienia się na działanie długofalowe nakazywała robienie największych wysiłków w kierunku z a b e z p i e c z e n i a b y t u i p o d s t a w d z i a ł a n i a n a p r z y s z ł o ś ć. Gromadzenie środków materialnych i lokata kapitału w inicjatywach gospodarczych, mających w przyszłości pokrywać koszty utrzymania i działalności, było jedną z głównych trosk władz Stowarzyszenia.

W okresie rocznej działalności należało wiele uwagi poświęcić przyśpieszeniu procesu samookreślenia się i stworzenia przyszłościowej sylwetki Stowarzyszenia, opartej o nieprzemijające wartości jego członków, wnoszących z sobą tradycję walki o nowy styl życia i nowy pokojowy świat. Luźne hasło samopomocy już nie wystarczało. Stowarzyszenie potrzebowało p r o g r a m u d ł u g o f a l o w e g o, o k r e ś l e n i a z a d a ń i p l a n u d z i a ł a n i a. Dopiero obecny Zjazd ma zatwierdzić końcowy etap tego rozwoju, określony pracami Komisji Programowej i poprawkami do Statutu. Plan działania w trzech kierunkach: ideowym, kulturalno-oświatowym i społeczno-gospodarczym, przy podkreśleniu społecznych i demokratycznych form i metod pracy, nadaje Stowarzyszeniu zdecydowany charakter i określa jego miejsce w polskiej społeczności poza Krajem.

Do rzędu następnych spraw, których końcowym etapem stanie się w pewnym sensie II. Walny Zjazd Delegatów, należy zaliczyć troskę o:

— uczestnictwo Stowarzyszenia we wszystkich procesach przebiegających przez emigrację i przyśpieszenie stworzenia jej ram organizacyjnych,

— uspołecznienie wojska i oswojenie jego członków z myślą o przejściu do życia cywilnego,

— związanie wszystkich części Stowarzyszenia w jedną organiczną całość, stanowiącą własność i dobro wszystkich jej członków,

— poszukiwanie na wszystkich szczeblach organizacyjnych członków, odpowiedzialnych za prace Stowarzyszenia,

— wypracowanie właściwych i skutecznych metod wprowadzania w życie celów Stowarzyszenia.

Każdy z wyliczonych problemów jest zagadnieniem samym dla siebie. Wymaga czasu i woli urzeczywistnienia. Wybrane władze wskazywać winny kierunek i sposób rozwiązywania spraw. Realizacja należy do wszystkich członków. Beznadziejny bowiem jest stan spraw każdego zespołu, jeśli jedni narzekają, a drudzy tracą głowę. Krytyka jest potrzebna, musi mieć swoje miejsce w Stowarzyszeniu, ale krytyka twórcza i konstruktywna. Mogą krytykować wybrani koledzy swoich wyborców za lenistwo, niechęć, brak pomocy w realizowaniu spraw, i odwrotnie: członkowie mogą wskazywać błędy i niedociągnięcia swoich kolegów z władz. Jednych i drugich obowiązuje, obok wytykania błędów, wskazywanie dróg usunięcia niedomagań, a głównie i przede wszystkim — pomoc w ich usuwaniu.

Zadanie wpojenia w członków zasady wspólnej własności i wspólnej odpowiedzialności za Stowarzyszenie jest nadal sprawą otwartą. Przełamanie tego stanu rzeczy będzie ostatnim etapem podziału na „górę" i „dół" Stowarzyszenia i pozwoli na wciągnięcie w pracę tego członka, który będzie członkiem Zarządu Głównego na równi z tym, który będzie członkiem Zarządu Koła X w Szkocji lub kierownikiem kantyny, czy bibliotekarzem w Kole Y w Belgii czy Kanadzie.

Skończmy wyrazem przeświadczenia, że obecny II. Walny Zjazd stanie się końcem rozwoju jednych spraw, a ważnym etapem przyśpieszającym proces dojrzewania innych.

Jeśli po obecnym Walnym Zjeździe wszyscy członkowie nabiorą przeświadczenia, że przyszłość Stowarzyszenia leży w rękach kilkudziesięciotysięcznej rzeszy b. kombatantów, a nie kilkunastu kolegów wybranych do władz — będziemy mogli ze spokojem patrzeć na przyszłość Stowarzyszenia. Ze zbiorowej woli b. kombatantów zrodzić się muszą czyny równe bohaterstwu na polu walki. Za kolegami z Oddziału SPK z okupacji brytyjskiej Niemiec rzucamy hasło: WSPÓLNYMI SIŁAMI.

B. T. ŁASZEWSKI

DRUGI WALNY ZJAZD SPK

GDY w jesieni 1945 r. podejmowano pierwsze próby zorganizowania żołnierzy P.S.Z. na nowych, społecznych zasadach w słusznym przewidywaniu tego, co dzisiaj jest już rzeczywistością — wiele osób z lekceważeniem i powątpiewaniem kiwało głowami. Byli i tacy, co rozdzierali szaty nad „rozpolitykowaniem (?) wojska" i złowieszczo szeptali o „kiereńszczyźnie" i „radach żołnierskich". Sądzono na ogół, że SPK, nie doczekawszy się uwiądu starczego, zemrze cicho na paraliż dziecięcy.

Stało się jednak inaczej. Raz jeszcze się okazało, że wśród Polaków, o ile wszelkie nakazy i inicjatywy narzucone „z góry" napotykają przeważnie na bierny opór, to zdrowa myśl, wynikająca z potrzeb „dołów" i wśród nich poczęta, ma wszelkie szanse powodzenia.

Pierwszy Walny Zjazd, odbyty w Londynie przed rokiem, dał Stowarzyszeniu podstawy prawne istnienia w postaci Statutu, nakreślił program prac na rok najbliższy i powierzył ich wykonanie wybranym przez siebie władzom. Od tego czasu SPK rozrosło się, okrzepło i dojrzało. Fakt, że sieć jego kół obejmuje wszystkie ważniejsze tereny, na których skupiło się wychodźstwo, a liczba członków wynosi ponad 60.000 — dając mu prawo do odpowiedniego udziału we wszystkich decyzjach i poczynaniach emigracji, nakłada nań równocześnie bardzo poważne obowiązki.

I oto dzisiaj zbiera się Drugi Walny Zjazd, by zrobić bilans dotychczasowych osiągnięć i ustalić program dalszych prac i poczynań.

Dzieje się to w momencie dla całego polskiego wychodźstwa wojennego przełomowym, w czasie przechodzenia z dotychczasowych form na inne.

Dla wielotysięcznej rzeszy kombatanckiej kończy się okres pozostawania w formacjach wojskowych lub na statusie podobnym do wojskowego. W przeciągu najbliższych miesięcy większość z nich przejdzie do życia cywilnego w poszczególnych krajach osiedlenia. Jakkolwiek nie jest wykluczone, że zaistnieje fakt o dużym znaczeniu dla ewentualnych przesunięć terytorialnych wychodźstwa, zasadnicze kierunki osiedlenia dadzą się dziś ustalić z dużą dokładnością. Podobnie rzecz się ma odnośnie możliwości zatrudnienia.

Wydaje się, że jest to moment dla Zjazdu korzystny, gdyż pozwala z jednej strony stworzyć sobie względnie dokładny obraz sytuacji na parę lat naprzód, z drugiej zaś wypracować plan i program zawczasu, zanim wszelkie przemiany dokonają się ostatecznie.

Równocześnie należy zdawać sobie sprawę z tego, że jest to raczej ostatnia okazja zwołania zjazdu na tak dużą skalę. Wszelkie możliwości udogodnień, jakie stwarza jeszcze obecnie fakt należenia do wojska, skończą się dla większości za parę miesięcy. Z chwilą przejścia do życia cywilnego skończą się przecież wszelkie bilety urlopowe i zniżki, koszt więc przybycia na zjazd każdego delegata wzrośnie kolosalnie. Dla delegatów z poza Wielkiej Brytanii kwestia uzyskania wizy i miejsca na statku czy samolocie będzie decydować o ich obecności. Sprawa wreszcie uzyskania od cywilnego pracodawcy odpowiednio długiego urlopu w tym właśnie a nie w innym terminie nie będzie tak prosta, jak obecne urlopy z wojska.

Następne więc zjazdy nie będą mogły napewno być tak liczne i wydaje się rzeczą zupełnie niemożliwą, by mogły odbywać się corocznie. W każdym razie w okresie pierwszych dwóch lat od wejścia w życie cywilne, jakakolwiek dalsza podróż będzie dla ogółu członków Stowarzyszenia niemal wykluczona. Przewiduje się więc, że następny Walny Zjazd będzie się mógł odbyć dopiero za trzy lata i klucz jego obesłania będzie musiał być zmieniony.

Stwierdzenia te stawiają obecny Zjazd wobec bardzo trudnych problemów i wielkiej odpowiedzialności, nadając jego obradom szczególne znaczenie.

Pierwszym zadaniem Zjazdu będzie niewątpliwie sprecyzowanie i utrwalenie c h a r a k t e r u S t o w a r z y s z e n i a w formie odpowiednich postanowień Statutu i tez ideowych.

Wypracowanie dokładnego i realnego p r o g r a m u p r a c y nie tylko na rok najbliższy, ale co najmniej na lat trzy z uwzględnieniem zasadniczych kierunków na dalszą jeszcze przyszłość — wymagać będzie od wszystkich delegatów trzeźwej oceny potrzeb członków i możliwości Stowarzyszenia.

Wykonanie tego programu zależeć będzie oczywiście od zdrowych podstaw finansowych, które Walny Zjazd ujmie w formie b u d ż e t u.

Ponieważ dotychczasowa struktura SPK nie zawsze nadąża już za potrzebami życia, Walny Zjazd nada mu niewątpliwie nowe f o r m y o r g a n i z a c y j n e, na tyle elastyczne, by dostosować się mogły do nieprzewidzianych okoliczności, na tyle zaś konkretne, by pierwsze przeciwności nie porwały nici łączących poszczególne ogniwa lub nie wypaczyły ogólnej linii.

Ostatnim w kolejności, choć nie mniej od poprzednich ważnym zadaniem Delegatów, będzie dokonanie w y b o r u n o w y c h w ł a d z Stowarzyszenia. Od wartości moralnej i umysłowych tych kilkudziesięciu osób, od stopnia ich przygotowania do pracy społecznej — zależeć będzie przecież wprowadzenie w życie wszystkich założeń i wykonanie programu.

Pozwalamy sobie wyrazić nadzieję, że pomimo ważności tego zagadnienia sprawy personalne i ambicje osobiste nie wezmą góry nad stroną merytoryczną Zjazdu, że będziemy świadkami poważnych i spokojnych obrad.

Niewątpliwie dyskusja będzie ożywiona i ścierać się nieraz będą różne poglądy. Przecież to po raz pierwszy spotkają się na terenie społecznym wszyscy ci, co o CAŁOŚĆ i NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI na różnych frontach walczyli. Nie należy obawiać się dyskusji, gdyż powinna ona posłużyć do zatarcia różnic między poszczególnymi środowiskami. Tam, gdzie cel jest jeden — wspólne doń drogi na pewno się znajdą.

Pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie, czy wobec tak wielkich zadań, które stoją przed II. Walnym Zjazdem SPK, istnieją warunki formalne, by mógł on spełnić pokładane w nim nadzieje.

Wydaje się, że tak. Będą reprezentowane na nim wszystkie tereny, na których idea Stowarzyszenia się przyjęła: Wielka Brytania, Francja, Belgia, okupacje brytyjska, amerykańska i francuska Niemiec, Szwajcaria, Szwecja, Środkowy Wschód, Kanada i Italia.

We wszystkich zasadniczych sprawach wnioski zostały opracowane przez specjalnie powołane Komisje fachowców. Komitet Wykonawczy przepracował je powtórnie pod kątem widzenia realnych możliwości. Po raz trzeci były one przedmiotem obrad Rady, która ostatecznie przedstawi je Zjazdowi. Wnioski te zostały również rozesłane do wszystkich Kół w terenie, by dać im możność spokojnego ich przedyskutowania u siebie i poczynienia ewentualnych poprawek i uwag. W świetle tych wszystkich przygotowań, decyzja Rady przesunięcia terminu Walnego Zjazdu z kwietnia na czerwiec wydaje się zupełnie uzasadniona.

Wnioski z terenu zarówno rzeczowe, jak i personalne, zostały przez Komisję Organizacyjną Zjazdu posegregowane i przygotowane do przekazania odpowiednim Komisjom Zjazdowym.

Sumiennie przygotowany i dobrze obesłany Zjazd winien dać pozytywne wyniki.

Na delegatów więc 378 Kół z różnych kontynentów zwrócone są nie tylko oczy tych, którzy ich wybrali i wysłali w swym imiemiu, lecz śmiało rzec można, że całe społeczeństwo polskie na obczyźnie śledzić będzie z uwagą ich wystąpienia i czekać na rezultaty ich obrad.

Nie będzie chyba zarozumiałością sądzić, że i w Kraju zainteresowanie londyńskim Zjazdem Kombatanckim będzie duże. Pomimo „żelaznej kurtyny", dojdą tam niewątpliwie jego echa, a na ich podstawie sądzić się będzie o dojrzałości społecznej i obywatelskiej tych, co w okresie zmagań zbrojnych byli dumą Narodu.

Również i dla naszych gospodarzy przebieg i wyniki obrad będą jedną z podstaw do wyrobienia sobie o nas opinii. Im większą wykażemy rzeczowość, im więcej damy dowodów zwartości wewnętrznej — tym więcej się z nami, jako ze społeczeństwem i organizacją będą liczyć.

Bez przesady zatem można stwierdzić, że tegoroczny Walny Zjazd SPK ma zupełnie zasadnicze znaczenie.

JAN RADOMYSKI

Przegląd tygodniowy

Sowiety w ofensywie — od Sinkiangu do Dunaju

WULKAN DALEKIEGO WSCHODU

W jednym ze swych ostatnich przemówień p. Bevin zwrócił uwagę na olbrzymią doniosłość zagadnień Dalekiego Wschodu i wskazywał niebezpieczeństwa, jakie kryje w sobie obecna sytuacja w Chinach, Mandżurii i Korei. Opinia publiczna W. Brytanii niezbyt się tymi zagadnieniami interesuje, czemu trudno się dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, że nawet dla znacznie bliższych zagadnień Europy wschodniej nie ma ona zbytniego zainteresowania. Do przeszłości należą te czasy, gdy żadna sprawa na świecie nie była Anglikom obojętna. Proces przekazywania Ameryce ciężaru odpowiedzialności za politykę światową, który teraz dokonywuje się w odniesieniu do Morza Śródziemnego, zaczął się od Dalekiego Wschodu. Niemniej jednak polityka brytyjska doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że zagadnienia Dalekiego Wschodu mają dla przyszłości świata wagę kapitalną.

Z naszego punktu widzenia również wymagają one czujnej uwagi. Dla przyszłości Polski sprawa Mandżurii czy Korei ma większe znaczenie, aniżeli sprawa Węgier czy Bułgarii. Tam bowiem, na Dalekim Wschodzie, rozstrzygają się w znacznej mierze stosunki amerykańsko-sowieckie.

W ostatnich dniach wypadki na pograniczu Mongolii Zewnętrznej i chińskiej prowincji Sinkiang przypomniały znowu światu, że Daleki Wschód jest wulkanem, który może wybuchnąć każdej chwili. I aczkolwiek nie ma powodu przeceniać ich znaczenia — sprawa Mandżurii i Korei jest znacznie ważniejsza — to jednak powstanie jeszcze jednego ogniska zapalnego w tym rejonie jest faktem godnym uwagi.

Nie jest to oczywiście zagadnienie nowe; walka o oderwanie od Sinkiangu — prowincji chińskiej dwa razy większej, niż cała Francja — i przyłączenie jej do ZSRR toczy się oddawna. Co jest rzeczą interesującą, to fakt, że została wznowiona w chwili obecnej po raczej dłuższej przerwie.

JAPONIA — BASTION ANTY-SOWIECKI?

Na tym tle zarysowuje się coraz wyraźniej dążność uczynienia z Japonii bastionu anty-sowieckiego w Azji. Jeżeli Chiny jeszcze przez wiele lat pozostaną słabe i rozbite, to któż może być instrumentem jakiejś równowagi na Dalekim Wschodzie, jak nie Japonia kontrolowana i kierowana przez St. Zjednoczone?

Amerykanie włożyli wielki wysiłek w stworzenie w Japonii systemu demokracji parlamentarnej. Jak dotąd osiągnęli spory sukces. Komuniści nie poczynili w tym kraju żadnych postępów, a z ostatnich wyborów wyszli zwycięsko socjaliści. Nowym premierem Japonii jest „japoński Attlee" p. Katayama. Ale znawcy kraju są zdania, że demokratyzacja Japonii jest czysto powierzchowna i nie przeżyłaby końca okupacji amerykańskiej.

W każdym razie faktem jest, że jeżeli w czasie wojny nienawiść Amerykanów do Japończyków była bez porównania silniejsza, aniżeli nienawiść do Niemców, to dziś niewiele z niej pozostało. B. prezydent Hoover domaga się odrębnego pokoju z Japonią i szybkiej jej odbudowy. Ta odbudowa jest w pełnym toku. Jednym słowem Japonia wraca wcale szybko na arenę międzynarodową jako protegowany amerykański.

Najmniej jasno przedstawia się sprawa Korei. Tu wpływy amerykańskie i rosyjskie są chwilowo wyraźnie rozgraniczone. Ale zanim podział stał się ostateczny i żelazna kurtyna wzdłuż 38 równoleżnika przecięła Koreę na republikę sowiecką na północy i republikę demokratyczną na południu, Amerykanie podjęli próbę zrealizowania idei niepodległości Korei. Dość niespodziewanie Sowiety poszły na ustępstwa i ostatnio osiągnięto porozumienie co do konsultacji na temat utworzenia rządu koreańskiego; wezmą w niej udział przedstawiciele wszystkich stronnictw koreańskich, tak jak tego domagali się Amerykanie. Pod tym względem Korea szczęśliwsza jest od Polski... Ale oczywiście nie gwarantuje to jeszcze bynajmniej osiągnięcia porozumienia i stworzenia niezależnego rządu koreańskiego. W dalszym ciągu bardziej prawdopodobny jest podział Korei.

Tak to powoli wyłania się obraz nowej chwiejnej równowagi na Dalekim Wschodzie między Rosją, a St. Zjednoczonymi. Nie nosi ona, podobnie jak sytuacja w Europie, cech trwałości. Zwłaszcza wydarzenia w Sinkiangu i w Mandżurii świadczą, że na dłuższą metę współżycie pokojowe obu światów nie jest możliwe.

SŁABOŚĆ KONCEPCJI MARSHALLA

Również w Europie rozwój wydarzeń powinien wykazać St. Zjednoczonym, że ich obecna polityka zapewniania chwiejnej równowagi przez wzmacnianie Europy zachodniej nie może zapewnić pokoju. Polityka ta zarysowuje się coraz dobitniej i znajduje wyraz w odpowiadaniu na posunięcia sowieckie w strefie wschodniej próbami organizowania strefy zachodniej. Bardzo jasno postawił sprawę „*New York Times*", który ostatnio w artykule „Komunizm i Europa" pisał m.in.:

„Skutki pogłębiającego się podziału Europy mogą być olbrzymie, ponieważ dominacja rosyjsko-komunistyczna oznacza dla każdego kraju wtłaczanie go w odgrodzoną od świata gospodarkę sowiecką. Oznacza to z kolei, że przeludniona i bardzo uprzemysłowiona zachodnia połowa Europy jest coraz bardziej odcięta od najbliższych obszarów rolnych, które ją karmiły, będąc jednocześnie najlepszym rynkiem zbytu.

„Jeżeli Europa zachodnia nie potrafi zreorganizować swego handlu i skierować go za morza na zupełnie innych podstawach, niż uprzednio — to staczać się ona będzie w dół ku coraz niższemu poziomowi życia. Polityczne skutki takiego upadku są jasne i oczywiste.

„Zagraża to naszym własnym interesom. Upadek zachodniej Europy osłabi naszego naturalnego sojusznika, który był naszym pierwszym puklerzem w tej wojnie, tak samo, jak my, byliśmy dla niego ostatnim ratunkiem. Upadek ten zaważy na naszych rynkach zagranicznych i wewnętrznych i w rezultacie doprowadzi w Stanach Zjednoczonych do tych samych napięć politycznych, jakie zaznaczają się obecnie w Europie zachodniej...

„Względy te zmuszają politykę Ameryki do dążenia do szybszej odbudowy świata zachodniego z jednej strony i do dopomożenia narodom wolnym do skutecznego bronienia się przeciw przyszłej agresji rosyjsko-komunistycznej... Jeżeli polityka ta ma odnieść pozytywne skutki, to należy dużo więcej zrobić, by wzmocnić Europę zachodnią. Musi to być zrobione na taką skalę i z taką szybkością, żebyśmy nie musieli potem sami stawiać sobie tragicznego zarzutu, że zrobiono za mało i za późno".

Jednakże ta polityka wzmacniania Europy zachodniej natrafia na ogromne trudności. Ostatnie strajki we Francji wykazały ponownie, jak niepewna jest sytuacja tego kraju, podminowanego przez komunistów. Co gorsza, W. Brytania coraz bardziej steruje ku polityce neutralności pomiędzy St. Zjednoczonymi a Rosją, co oczywiście bardzo utrudnia wprowadzenie w życie koncepcji Marshalla.

„I PANU BOGU ŚWIECZKĘ..."

Nowa linia polityki brytyjskiej przypomina zasadę „i Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek". Gdy tylko jest mowa o wzmocnieniu współpracy ze St. Zjednoczonymi, to zaraz dodaje się, że tak samo współpraca z Roją musi być pogłębiona.

Fatalny wydaje się wpływ brytyjskiej polityki *appeasement'u* na reakcję Zachodu wobec wydarzeń na Węgrzech. Tu wyraźnie Londyn powstrzymywał Waszyngton od energicznego wystąpienia przeciw najnowszej zbrodni sowieckiej. Oświadczenie rządowe w Izbie Gmin głosiło, że wciąż jeszcze sytuacja na Węgrzech jest niewyjaśniona („Ach ta niepewność"! — wołał pewien pan, gdy zobaczył przez dziurkę od klucza, że jego żona i przyjaciel kładą się do łóżka i gdy następnie zgasło światło...), że w oczekiwaniu na dalsze informacje trzeba wstrzymać się od wydania sądu i że w każdym razie W. Brytania będzie sądziła nowy rząd węgierski po jego postępowaniu. Tak jakby takie czy inne postępowanie zmieniło fakt, że rząd ten doszedł do władzy na skutek zamachu stanu, zorganizowanego przez Sowiety!

Rezultatem tej postawy W. Brytanii jest osłabienie tonu noty amerykańskiej. Nie jest już wcale pewne, czy sprawa Węgier zostanie przedłożona ONZ. Być może znowu skończy się na proteście. A w takim razie Sowiety byłyby jedynie zachęcone do nowych aktów agresji.

Polityka *appeasement'u* to równia pochyła. Gdy raz się na nią weszło, trudno z niej zejść. I dlatego wciąż jeszcze staczamy się ku przepaści.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Dyskusja w Izbie Gmin na temat legalności deportowania do Niemiec t.zw. „opornych" żołnierzy polskich postawiła ponownie na porządku dziennym całe zagadnienie demobilizowanych Polskich Sił Zbrojnych. Wykazała ona raz jeszcze, że wielu jest posłów zdecydowanych wciąż na nowo powracać do wszelkich decyzji, które uważają za krzywdzące żołnierzy polskich. Wykazała też, że sprawa „opornych" czy „niezdecydowanych" jest na drodze do rozwiązania. Liczba ich spadła do 5000 i powinna szybko zmaleć jeszcze bardziej.

Toteż zainteresowanie zwraca się ku zagadnieniom bardziej trwałym, a więc związanym z pozostaniem na czas dłuższy w W. Brytanii wielkiej masy żołnierzy w PKPR. Dość nieoczekiwanie „*Times*" w artykule wstępnym powrócił do projektu przyznania obywatelstwa Polakom, którzy tu pozostają. Przytoczywszy znaną wypowiedź Churchilla z 1945 na rzecz ofiarowania kombatantom polskim obywatelstwa Imperium Brytyjskiego „*Times*" pisze:

„Oznajmiając w maju ub. roku stworzenie Korpusu Przysposobienia, p. Bevin odmówił dyskutowania możliwości naturalizacji. Jednakże sprawa ta nie powinna dłużej pozostawać w zawieszeniu. Każdy Polak, który czuje się w niemożności powrotu do Kraju i pragnie uzyskać prawo do życia poza Polską powinien uzyskać — uwarunkowaną stałym dobrym zachowaniem się — perspektywę pełnego obywatelstwa społeczności, w której zarabia na życie".

Nasz stosunek do zagadnienia obywatelstwa brytyjskiego jest znany: cenimy je wysoko, ale nie zamierzamy bynajmniej uważać naszego pobytu tutaj za stały, wierzymy, że powrócimy do wolnego kraju i dlatego sprawa obywatelstwa brytyjskiego nie wydaje nam się aktualna.

Natomiast wysoce aktualna jest sprawa tego, co można by określić „obywatelstwem pracy", a więc pełnego zrównania z obywatelami W. Brytanii w prawie do pracy we wszystkich dziedzinach. Na tym odcinku wciąż jeszcze jest sporo do zrobienia i wiele nieporozumień do wyjaśnienia, jak o tym świadczą choćby dwie notatki w „*Manchester Guardian*" z 10 b.m.

Jedna z nich głosi, że na konferencji mechaników metalowych domagano się, by „Polacy zmuszeni zostali do pożytecznej pracy", podczas gdy druga informowała, że na innym zjeździe, tym razem techników, jeden z delegatów skarżył się, że gdy miejscowa firma w Birmingham pragnęła zatrudnić Polaków, ci „wyrazili gotowość do pracy, ale na własnych warunkach, przy czym wszyscy chcieli być kierowcami".

Z jednej strony więc niektórzy sądzą, że Polacy nie chcą pracować, z drugiej zaś, że stawiają jakieś nieuzasadnione warunki. Wolno jednak oczekiwać, że w miarę jak coraz więcej Brytyjczyków stykać się będzie z polskimi towarzyszami pracy, nieporozumienia te znaczną znikać.

LECTOR

Polska pod okupacją

Nie ma opieki niezależnych sądów

Polak przebywający na czasowej emigracji na Zachodzie zdaje sobie dzisiaj mniej więcej sprawę, jak wygląda życie w Polsce, w jakich warunkach przyszłoby mu żyć, wracając dziś do Kraju. Wszechwładza „Bezpieki" i agentów NKWD w Polsce została już odpowiednio przedstawiona zarówno przez prasę polską, jak i obcą. Co do tej strony życia nie ma chyba dzisiaj nikogo, kto by miał jeszcze jakieś złudzenia. Ale mogą być jeszcze ludzie, którzy myślą: „no dobrze, „Bezpieki" nie mam co się obawiać, bo ona zajmuje się „politycznymi", a ja chcę zająć się tylko handlem, a ponad to zawsze mogę odwołać się do sądu, gdzie udowodnię moją niewinność". Otóż — nie.

SPRAWIEDLIWOŚĆ NA USŁUGACH POLITYKI

Reżim rządzący dziś Polską chce, aby sędzia służył nie sprawiedliwości, ale „demokracji" we wschodnim znaczeniu tego słowa i by tępił „faszyzm". Pojęcia świata cywilizacji zachodnio-europejskiej, że prawo i sprawiedliwość winny być jednakowe dla każdego, zawsze i wszędzie — są temu reżimowi obce. Sędzia musi być reprezentantem jego linii politycznej i kierować się przy wyrokowaniu t.zw. interesem publicznym, co pozwala mu zawsze na obejście takiego czy innego przepisu dla dobra wyższego, bardzo swoiście interpretowanego.

Ponad to sędzia poddany został zależności administracyjno-politycznej ministra sprawiedliwości tak, że niezawisłość sędziowska stała się zupełnie pozorna. Również dla ograniczenia sędziów, którzy — trzeba to przyznać — opierają się tym nowym metodom, poszerzono kompetencje prokuratorów oraz wprowadzono do kompletów sądzących t.zw. czynnik społeczny, powoływany przez Rady Narodowe spośród osób oddanych reżimowi.

Podstawowa na Zachodzie zasada wolności obywatela, mówiąca, że nikt nie może być aresztowany i przetrzymywany w areszcie bez zgody sądu — w Polsce także nie obowiązuje. Obywatel zdany jest na samowolę „Bezpieki", milicji i prokuratora.

Sądownictwo i wymiar sprawiedliwości w Polsce upodabniane są do wzorów sowieckich. Według tych wzorów również wprowadzone zostało u nas sądownictwo specjalne, wymiar sprawiedliwości pozasądowej oraz sądy wojskowe dla ludności cywilnej.

SĄDOWNICTWO SPECJALNE

Obok podporządkowania sędziego obowiązującej linii politycznej reżimu, drugim sposobem opanowania sądownictwa powszechnego i zepchnięcia go do roli drugorzędnej stało się wprowadzenie sądownictwa specjalnego. Reżim przy pomocy dekretów wybrał sobie szereg spraw, na których mu szczególnie zależało celem zwalczania przeciwników — oddał je pod jurysdykcję sądów specjalnych, w których głos decydujący przy wyrokowaniu mają ławnicy, a więc sędziowie niezawodowi, wybrani przez czynnik polityczny, jakim są Rady Narodowe, opanowane i mianowane przez komunistów. Te sądy specjalne to są:

NAJWYŻSZY TRYBUNAŁ NARODOWY, do którego właściwości należą sprawy o przestępstwa z dekretu o „odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację państwa". Określenia te są dość wymowne. Postępowanie przed tym trybunałem jest uproszczone i tak np. wolno dla celów dowodowych korzystać z zapisków dochodzenia oraz z wszelkich pism prywatnych i urzędowych. Od wyroków nie ma apelacji, można jedynie prosić o łaskę „prezydenta" Bieruta.

SPECJALNE SĄDY KARNE, w pierwszej instancji rozpatrują one sprawy z dekretu o „wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy", z dekretu o „środkach zabezpieczających przeciw zdrajcom Narodu" i z ustawy o „wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów". Wyroki są ostateczne i prawomocne.

WYDZIAŁY SPECJALNE KARNE, orzekają w sprawach z dekretu o „przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa". Tutaj należy szereg przestępstw, jak np. przeciwko porządkowi publicznemu, interesom gospodarczym państwa, przestępstwa urzędnicze, pod co można podciągać wiele czynności niekoniecznie „przestępczych". Od wyroków przysługuje jedynie kasacja do Sądu Najwyższego.

Ponad to istnieją jeszcze WYDZIAŁY DORAŹNE (orzekają w sprawach o zabójstwo, szabrownictwo, łapownictwo itp; od wyroku może apelować jedynie prokurator; dla oskarżonego wyrok jest ostateczny), SĄDY OBYWATELSKIE i GRODZKIE SĄDY REHABILITACYJNE.

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI POZASĄDOWEJ

Reżim nie zadowolił się stworzeniem sądownictwa specjalnego i utworzył jeszcze wymiar sprawiedliwości zupełnie poza sądem. Pewne kategorie spraw zostały wyłączone spod jurysdykcji sądowej (wbrew Konstytucji z 1921 roku) i oddane do decyzji władz administracyjnych, które już w pełni podlegają władzom politycznym, a ściślej mówiąc komunistom.

Ten system „sprawiedliwości" pozwala reżimowi szachować każdego obywatela bez wyjątku. Gdy tylko władzy spodoba się, a raczej, gdy ktoś się jej nie spodoba — może być pociągnięty do odpowiedzialności przed KOMISJĄ SPECJALNĄ DO WALKI Z NADUŻYCIAMI, która ma prawo skazywać na zamknięcie w „obozach pracy przymusowej" na okres do dwóch lat. Od orzeczeń tej komisji nie przysługuje żadne odwołanie. Komisja ta ma równocześnie wyjątkowe uprawnienie, gdyż na jej wniosek sądy są obowiązane przekazywać jej sprawy, które już toczą się przed sądami.

Na podstawie „wyroków" wydanych przez tę Komisję okazuje się, że jej działalność pokrywa wszystkie dziedziny Kodeksu Karnego, od wykroczeń do przestępstw. Ba, nawet zajmowała się ona i „wyrokowała" w sprawach, które normalnie stanowią tylko wykroczenie dyscyplinarne, jak np. samowolny wyjazd samochodem służbowym, niesporządzenie przez niedbalstwo protokułu z rozdziału koni, brak nadzoru nad majątkiem starostwa itp. Działalność Komisji obejmowała także takie wypadki, jak „wstręt do pracy" (3 mies. obozu), pośrednictwo mieszkaniowe (6 mies.), brak dbałości o robotnika i jego złe traktowanie, handel walutami, gra w „trzy karty" itd.

Na podstawie tych i tym podobnych przykładów dochodzi się do wniosku, że Komisja „do walki z nadużyciami i szkodnictwem gospodarczym" służy nie tyle tym celom, co stwarza ona reżimowi możność zamknięcia w „obozie pracy" każdego na podstawie dowolnej oceny.

Również NADZWYCZAJNE KOMISJE MIESZKANIOWE, które wyrokują w różnych sprawach mieszkaniowych z pominięciem sądów powszechnych, mają na celu uzależnienie obywatela od łaski czy niełaski władzy administracyjno-politycznej. Decyzje tej Komisji są natychmiast wykonalne i nie ma odwołania do sądu lub innej instancji.

OSOBY CYWILNE PRZED SĄDAMI WOJSKA

Ukoronowaniem tego systemu sądów jako narzędzia walki politycznej reżimu ze społeczeństwem jest rozciąganie władzy sądów wojskowych na obywateli cywilnych, mimo że od ukończenia wojny minęło przeszło dwa lata, mimo — karty wolności obywatelskich, bombastycznie ogłoszonej parę miesięcy temu.

Do kompetencji SĄDÓW WOJSKOWYCH należy wyrokowanie w wypadkach popełnienia zbrodni stanu i w sprawach o przestępstwa „szczególnie niebezpieczne w okresie odbudowy państwa" (przeciwko bezpieczeństwu publicznemu, sprawy o charakterze politycznym). Dzięki specjalnej strukturze sądów wojskowych i specjalnej procedurze tych sądów — są one niesłychanie wygodnym narzędziem dla tępienia opozycji.

Sędziowie wojskowi są nie tylko ludźmi reżimu, ale także są całkowicie uzależnieni od Naczelnego Dowódcy (Żymierskiego) poprzez szefa sądownictwa wojennego. Obowiązuje ich zarówno hierarchia, jak i dyscyplina wojskowa. Ponad to, według Kodeksu Wojskowego Postępowania Karnego (art. 3), sędzia wojskowy ma o b o w i ą z e k kierowania się nie prawem ale „poczuciem praworządności demokratycznej". Pozwala to na naginanie każdego formalnego prawa do aktualnych potrzeb reżimu.

Obywatel cywilny, oskarżony o przestępstwo polityczne — poddany sądownictwu wojskowemu jest ponadto narażony na bardzo poważne trudności w swej obronie, wskutek procedury wojskowej, dostosowanej do dyscypliny wojskowej, i tak np. akt oskarżenia zostaje mu w praktyce tylko odczytany dopiero na 5 dni przed rozprawą, a więc nie daje możności zgłoszenia odpowiednich świadków, dalej prawo wyboru obrońców ograniczone jest tylko do tych, którzy otrzymali od ministra obrony narodowej (Żymierskiego) prawo występowania przed sądami wojskowymi itp. Również w sądach wojskowych wszystko otoczone jest tajemnicą i rozprawa odbywa się przy drzwiach zamkniętych.

Podobnie jak pod innymi dyktaturami, czy to hitlerowską, czy to sowiecką, obywatel w Polsce Bieruta i Gomułki uzależniony jest zupełnie od państwa, którym znów kieruje świetnie zorganizowana — elita. W tych systemach rządzenia nawet sądy nie stanowią schronienia dla skrzywdzonego obywatela. Są one, tak jak wszystko i wszyscy, podporządkowane woli i celom rządzących.

TADEUSZ NALER

NASZ ZNAK

SPK

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

Rok I 21 CZERWCA 1947 Nr. 10

O wspólny los

Dnie 17, 18 i 19 czerwca 1947 roku otwierają nowy rozdział w dziejach Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. W tych bowiem dniach przedstawiciele jak najszerszych rzesz kombatanckich przybywszy na II. Walny Zjazd Delegatów SPK zasiądą w Caxton Hall w Londynie, aby uczynić przegląd dotychczasowej działalności Stowarzyszenia, ułożyć plan dalszego działania, powziąć szereg niezmiernie ważnych, zasadniczych decyzji i dokonać wyboru nowych władz.

Świadomość obecnej sytuacji pozwala stwierdzić, że od tego Zjazdu zależy zdrowy rozwój Stowarzyszenia nie tylko w ciągu przyszłej kadencji, ale w wielkiej mierze cała jego przyszłość.

Świadomość ta z pewnością wytworzy na sali obrad atmosferę poczucia pełnej odpowiedzialności za przyszły los wielotysięcznych rzesz członków — wielkiej rodziny kombatanckiej, rozproszonej po świecie, lecz złączonej jedną wolą i jednym celem.

Wiara w wielką moc, którą wytwarza wola ogółu, wiara w celowość wysiłków i jasne spojrzenie w przyszłość niech towarzyszą troskom o jak najlepsze wywiązanie się z zadań i zobowiązań wobec tych wszystkich kolegów, których zaufanie delegaci przywożą z sobą na Zjazd.

Składamy uczestnikom Zjazdu jak najszczersze życzenia owocnej pracy i osiągnięć godnych naszej wspólnej przyszłości.

Redakcja

Co postanowił Kongres Zjednoczenia

W nr. 5 naszego pisma Zdzisław Porębski omówił „Współudział SPK w Zjednoczeniu". Poniżej tenże autor podaje streszczenie ważniejszych uchwał Kongresu według niedawno wydanej broszury. Sprawy Zjednoczenia powinny się stać dla każdego Polaka, myślącego nieco szerszymi kategoriami — przedmiotem jak najżywszego zainteresowania.

„Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii" (Londyn, 1947) jest pierwszym wydawnictwem tej niedawno powołanej do życia instytucji społecznej, która powstała ze zrozumienia sytuacji i woli większości naszego społeczeństwa.

„Wydając niniejszą broszurę — *czytamy w „Słowie wstępnym"* — Zarząd Zjednoczenia kierował się intencją, aby uchwały Kongresu znalazły się w posiadaniu zarządów i władz organizacji, należących do Zjednoczenia, oraz aby trafiły do rąk wszystkich polskich działaczy społecznych w Wielkiej Brytanii, pracujących na najmniejszych nawet odcinkach naszego życia."

Odsyłając czytelników do tej niewielkiej, lecz bogatej w treść broszury, podajemy poniżej fragmenty ważniejszych uchwał.

Kongres wiele uwagi poświęcił tak bardzo żywotnym sprawom naszego duchowego bytu na obczyźnie.

Zalecając powołanie do życia stałego Komitetu Kultury i Wychowania, Kongres w następujących punktach jasno określił zadania Zjednoczenia w dziedzinie kulturalnej:

„1) Rozwój i upowszechnianie kultury polskiej.

2) Utrzymywanie i rozszerzanie polskiego systemu kształcenia i oświaty.

3) Sprawy nauki polskiej za granicą z uwzględnieniem: a) organizacji nauki, b) przygotowania naukowców, c) wydawnictw naukowych.

4) Współpracę z organizacją Duszpasterstwa Polskiego.

5) Opiekę nad rodziną.

6) Życie organizacyjne kobiet.

7) Życie młodzieży z zapewnieniem szczególnej opieki młodzieży samotnej i kształcenie jednostek specjalnie uzdolnionych.

8) Zajęcie się obroną polskiej prawdy historycznej".

Wśród zaleceń w sprawach zatrudnienia znajdujemy następujące ogólne sformułowania:

„Wychodząc z założeń wolności pracy i uznanej we wszystkich społeczeństwach demokratycznych ochrony pracy — Kongres stwierdza, że zatrudnienie Polaków w Wielkiej Brytanii powinno uwzględniać następujące zasady uznawane przez brytyjski ruch zawodowy:

1) Nie będą stosowane jakiekolwiek ograniczenia narodowe, wyznaniowe lub polityczne w stosunku do pracujących.

2) Każdy pracujący powinien otrzymać równą płacę za tę samą pracę.

3) Każdy pracujący winien otrzymać pracę odpowiednią do swoich kwalifikacji zawodowych oraz sił fizycznych.

4) Każdy pracujący ma prawo do korzystania z istniejących urządzeń społecznych, oraz korzystać z obowiązujących w danej gałęzi pracy warunków umownych".

Z dłuższej uchwały, dotyczącej osiedlenia, wyjmujemy krótkie ustępy:

„Najwłaściwszą formą osiedlenia byłoby osiedlenie zbiorowe w dużym zwartym skupisku względnie skupiskach o możliwie pełnym przekroju społecznym i zawodowym w warunkach, dających widoki na osiągnięcie pewnej samodzielności gospodarczej i kulturalnej.

Wobec tego jednak, że konkretna możliwość osiągnięcia osiedlenia zbiorowego w takiej formie nie leży obecnie w granicach realnych przewidywań, należy przyjąć również formy osiedlenia grupowego i grupowo-rozproszonego".

Sprawa statusu prawnego uchodźców była przedmiotem szczególnej troski, głównie odnośnie Polaków z terenu Niemiec i t.zw. „opornych":

„Polacy w Wielkiej Brytanii z najwyższym niepokojem śledzą postępowanie UNRRA na terenie Niemiec, zmierzające do wywarcia nacisku w kierunku repatriacji. Kongres protestuje przeciw tym metodom i zapewnia Polaków w Niemczech, że Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii nie ustanie w wysiłkach w obronie ich praw do wolności.

Kongres apeluje, aby zaciąg do PKPR był dostępny dla wszystkich kombatantów P.S.Z. z obecnej wojny, znajdujących się pod opieką brytyjską.

Kongres wyraża swój głęboki niepokój o los żołnierzy P.S.Z., którzy nie zdecydowali się na zaciąg do PKPR ani na powrót do Kraju. Kongres stwierdza, że wysiedlenie ich do Niemiec byłoby sprzeczne z należnym im prawem azylu i oznaczałoby wydanie przez Wielką Brytanię jej sprzymierzeńców i towarzyszy broni w ręce wspólnego wroga".

Z posiewu takich i podobnych uchwał zrodzi się poważne dzieło Kongresu.

ZDZISŁAW PORĘBSKI

Istnienie SPK zagrożone

Stowarzyszenie nasze stoi niewątpliwie przed ogromem zadań. Wiele z nich już jest wyjaśnionych, inne życie jeszcze wysunie i z nieodpartą siłą będzie żądało ich urzeczywistnienia. Stowarzyszenie stało się już jedną z kluczowych pozycji nowego wychodztwa.

Żądania wobec Stowarzyszenia stawiają zarówno jego członkowie, jak i czynniki zewnętrzne. Członkowie i opinia publiczna wiążą z SPK nadzieje, że potrafi ono wykonać wiele niespełnionych dotąd zadań, uleczyć wiele bolączek i zaspokoić wiele potrzeb, czego nie dokonały dotychczas instytucje społeczne, rządy dawne czy nowe, czy też czynniki sojusznicze. Nadzieje często są ponad miarę i wkraczają nieraz w krainę fantazji. To jest pewne.

Również pewne jest, że członkowie pragną czerpać ze Stowarzyszenia korzyści w znacznie większym stopniu, aniżeli wynoszą ich świadczenia wobec Stowarzyszenia.

Siłą Stowarzyszenia w realizacji jego zadań stanowi oczywiście zbiorowa wola i zbiorowa bezinteresowna praca ogółu, a więc i każdego jego członka. Ale te zbiorowe wysiłki muszą się oprzeć o odpowiednie podstawy materialne. Wartość środków materialnych (zarówno inwentarzy wszelkiego rodzaju, jak i środków pieniężnych) jest w znaczej mierze miernikiem sił i możliwości Stowarzyszenia w zakresie przeprowadzania jego zadań. Wiadomo: „z pustego i Salomon nie naleje".

Walcz o pełne prawa wolnego człowieka

Były jeszcze niedawno na emigracji różnego rodzaju polskie fundusze o charakterze społecznym. Niektóre z nich zostały zamrożone i nie są dostępne— inne topnieją z dnia na dzień. Z niepokojem patrzymy w przyszłość. Wielu już na własnej skórze odczuwa likwidowanie polskich placówek społecznych.

Stowarzyszenie musi z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski. Niedaleki jest czas, gdy nikt nam nie pomoże i nie spłyną żadne subwencje. Musimy mieć świadomość, że Stowarzyszenie s i ę s k o ń c z y, po prostu wyczerpie i zbankrutuje — jeśli nie będzie samodzielne finansowo. Nie wolno nam roztrwonić ani porozdawać resztek środków finansowych, które teraz mogą jeszcze być dla nas dostępne. Trzeba z nich tworzyć podwaliny dla przyszłej samodzielności i niezależności finansowej.

Musimy z naszych środków finansowych wydobyć jak największy kapitał nienaruszalny, który umożliwi stworzenie takich własnych instytucji dochodowych, aby Stowarzyszenie można było „pędzić" z corocznych jego dochodów, do których dołączyłyby się jeszcze stałe dochody w rodzaju składek członkowskich i t.p. Projekt nowego statutu przewiduje już stworzenie i zabezpieczenie takich nienaruszalnych kapitałów.

Spróbujmy zimnego rachunku. SPK jest organizacją o zasięgu na cały świat. Ma ono objąć rzeszę ludzką, która stanowiła całą armię i kierowana była przez wielkie sztaby. Tą wielką rzeszą mają kierować obecnie zarządy Kół, Okręgów, Oddziałów i Centrali, składające się z bezinteresownych pracowników społecznych. Do pomocy mają tylko nieznaczną ilość personelu płatnego i to wynagradzanego bardzo skromnie. A członkowie i wszelkie ogniwa organizacyjne domagają się — i to słusznie — sprawnego działania biur i całego aparatu organizacyjnego.

Prawdziwą obczyzną dla nas jest — niewola

Te wszystkie potrzeby i jeszcze ponadto świadczenia kulturalne, społeczne, organizacyjne i t.p. — oraz pomoc dla Okręgów — ma pokryć budżet, którego wydatki na rok 1947/48 obliczono na niecałe £60.000. — Ponieważ nie przewiduje się, aby w przyszłości składki członkowskie wpływały do Centrali, udział Oddziałów w utrzymaniu jej będzie nieznaczny, więc trzeba liczyć, że Stowarzyszenie nie pokryje z własnych wpływów organizacyjnych więcej niż £10.000. — Możemy przyjąć w zaokrągleniu, że Stowarzyszenie będzie rocznie potrzebowało co najmniej £50.000. Nie poruszam tutaj przewidzianego rozrostu organizacyjnego, ani wydatków dalszych szczebli organizacyjnych.

Większość naszych funduszów zgrupowana jest na terenie brytyjskim i tu trzeba nimi gospodarować. Tutejsze warunki gospodarcze — jak wiadomo — pozwalają z przedsiębiorstw o charakterze przemysłowo - handlowym, będących w pełnym rozwoju, wyciągnąć roczny zysk, który w stosunku do włożonego kapitału wynosi ok. 10 — 12% Kapitały umieszczone w bankach, w pożyczkach i t.p. dają dochód roczny dużo niższy, to jest ok. 2½ do 4%. Jeśli więc przyjąć przeciętny dochód 10% od kapitału, to dla uzyskania rocznego dochodu potrzebnego Stowarzyszeniu w wysokości £50.000—potrzebaby umieścić w przedsiębiorstwach dochodowych £500.000.

Prawdziwy demokrata posiada odwagę cywilną

Wszędobylska plotka roznosi po świecie wieści „o bajecznym bogactwie Kombatantów". Rzeczywistość jest daleka od tego. Z końcem roku bilansowego 1946/47 fundusze SPK wchodzące w grę jako kapitał zakładowy wynoszą niecałe £50.000. Brakowało by nam więc jeszcze „tylko" dziewięć razy tyle, t.j. £450.000! Dość trudno sobie wyobrazić, byśmy jeszcze takie fundusze potrafili uzyskać!

Trzeba z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski, a więc:

1) konieczna jest daleko idąca oszczędność w wydatkach bieżących,

2) dla ratowania istnienia SPK w przyszłości trzeba teraz jak najwięcej środków przeznaczyć na przedsiębiorstwa lub inne lokaty dochodowe,

3) trzeba wymagać od członków i wszelkich ogniw organizacyjnych starannego wywiązywania się z obowiązku wpłacania składek,

4) trzeba położyć nacisk na organizowanie przedsiębiorstw dochodowych o charakterze „usługowym", które wymagają małych kapitałów zakładowych.

Przykładem takiego przedsięwzięcia może być sprawa ubezpieczeń. Akcja ta da członkom ubezpieczającym się wszelkie stąd płynące korzyści, a Stowarzyszeniu prowizję, którą wziąłby inaczej prywatny agent. Nawet taka działalność, jak np. Biuro Paczek, musi być kalkulowana z nieznacznym zyskiem. Parę pensów na paczce nie obciąża zbytnio płacącego, a przy większych obrotach pozwala mieć zapas na niespodziewane straty i jeszcze pozostawi zysk na cele ogólne.

Przedstawiona tutaj sytuacja finansowa Stowarzyszenia jest na pewno niepokojąca. Trzeba więc los wspólnego majątku powierzyć ludziom, którzy umieją gospodarować i patrzeć w dal. Kto by dziś chciał obiecywać członkom doraźne zyski, kto by chciał rozdawać dary, subwencje i „bezpłatne pożyczki" — może znaleźć poklask niezorientowanych, lecz zabiłby Stowarzyszenie.

Jeśli spotyka się głosy krytyki, dotyczące gospodarki społecznej, to trzeba, byśmy z tego wyciągnęli wnioski dla własnej gospodarki. Jeśli majątek SPK jest wspólnym dobrem ogółu — to wspólna musi być też troska i musimy od wszystkich wymagać gospodarczego myślenia o przyszłości.

Trzeba, by znajomość stanu majątkowego docierała do terenu. Walny Zjazd umożliwi wiele wyjaśnień. Nie wystarczą jednak na to jedynie walne zjazdy i zebrania Rady. Trudności w docieraniu tych wiadomości do ogółu spowodowane są szczupłością polskiej prasy. Dobrze więc, że obecnie poza „Komunikatem SPK" stanął do dyspozycji „Nasz Znak". W nim winny znaleźć odbicie wszelkie ważniejsze wydarzenie gospodarcze SPK.

Pamiętać jednak musimy, że gospodarka nie ma na celu jedynie zbijania wielkiego majątku. Majątek ten musi być „narzędziem", musi służyć członkom. Potrzebujemy środków nie tylko na cele ogólne, ale nieraz na pomoc i ratowanie ludzi, będących w rozpaczliwym położeniu. Gospodarujmy dobrze, byśmy mieli z czego pomóc.

Dopiero w Stowarzyszeniu, opartym na zdrowych podstawach finansowych, posiądziemy organizację silną i zdolną do działania w interesie jej członków.

Z. T.

Dżungla

(Artykuł dyskusyjny)

W odpowiedzi na artykuł dyskusyjny „Mam wątpliwości" w nr. 7 „Naszego Znaku".

Według starej szkolnej formuły pojęcie „inteligencja" określano jako „zdolność dawania sobie rady w nowych, nieprzewidzianych okolicznościach". Słowo to było zbyt często nadużywane u nas w Polsce w celu określenia ludzi wykształconych, a często tylko — zamożnych. Dlatego też w tym artykule zastąpię słowo: „inteligent" słowem: „człowiek wykształcony".

Przez krótki okres czasu współpracowałem z lokalną *Labour Exchange* i dzięki temu miałem możność zorientowania się w istotnym stanie rzeczy.

Faktem jest, że dla nas Polaków minął okres „*prosperity*" w W. Brytanii, którym można było upajać się do roku 1943. Przestaliśmy być miłymi, kochanymi gośćmi, a staliśmy się — nie z naszej zresztą, lecz gospodarzy winy — ciężarem. Gospodarze zatrzasnęli przed nami drzwi, do których klucza obecnie znaleźć nie mogą i przez to skazali nas na miano gości „stojących za długo". Jest to dla nich wysoce krępujące, nie mówiąc o tym, że nam również błogo nie jest. Najchętniej wyrzuciliby nas, ale nie bardzo mają gdzie i którędy, bo drzwi są zamknięte. A może by przez okno? — Co by sąsiedzi na to powiedzieli? Niech więc siedzą! Trzeba ich żywić, więc lepiej niech coś robią, byleby wzięli te gorsze prace na siebie.

To jest nasza sytuacja, a na tle jej wyłania się sprawa ludzi wykształconych.

Starsi, którzy mają za sobą lata studiów i pracy zawodowej, znaleźli się w sytuacji wprost bez wyjścia. Język, uczenie się od nowa, nowe zwyczaje, sposoby, stosunki, inna psychika ... to są rzeczy, w które trzeba wgryzać się przez lata.

Młodzi zbyt dobrze pamiętają, ile lat pracy i trudów kosztowało ich zdobycie wykształcenia. Są ambitni, dumni, porywczy, mają skrupuły i t.d. Ostatecznie mogliby wystartować raz jeszcze, nie zwracając uwagi na opóźnienie. Prawdopodobnie jednak jakiś „wyścigowiec" na dobrym, zdrowym „motorze" zdołałby zapewnić sobie niezłe miejsce, ale większość by odpadła.

Przed większością stoi pytanie: „Co robić?"

Wziąć się do pracy fizycznej? Zaprzepaścić zdobytą wiedzę? Umierać z głodu? Żyć na łaskawym chlebie? Wracać do Kraju?...

Nikt nikomu na te pytania odpowiedzieć szczerze i właściwie nie może i nie umie. Wiem z własnego doświadczenia, że jeżeli się chce i ma energię ku temu, wiele rzeczy można osiągnąć. Od tych dwóch warunków zależeć będzie nasza decyzja.

Chciałbym podkreślić, że z wyjątkiem fakirów i jogów, najsilniejszymi instynktami u człowieka są instynkty: samozachowawczy i płciowy. One też będą miały głos w naszych rozważaniach, a przeważnie zawsze biorą górę nad innymi czynnikami.

Wiemy, czego możemy się spodziewać, zostając w W. Brytanii. Tym zaś, którzy nie wiedzą, mogę powiedzieć, by byli nastawieni na „najgorsze". Nie będę nikomu radził, lecz podam trzy przykłady zaczerpnięte z życia — odnośnie decyzji ludzi z wykształceniem.

Mój kolega jest żonaty ze Szkotką. W Polsce ukończył szkołę handlową i miał kilka lat dobrej praktyki. W W. Brytanii ukończył dział tekstylny na uniwersytecie. Zdawało by się, że nie powinien mieć trudności z otrzymaniem pracy. Starał się o nią w kilku miejscach i jak długo nie podawał, że jest Polakiem, tak długo było wszystko w porządku. Na wzmiankę o pochodzeniu kończyło się na kilku „*very sorry*".

Niech mi kto powie, co on ma zrobić!

Na szczęście on sam dał odpowiedź:

— „Jeżeli mam patrzeć, jak żona i dziecko cierpią nędzę, względnie jak im teściowie pomagają, to już wolę pójść do kopalni".

Znając go, jestem przekonany, że zrobi to, o ile nie dostanie pracy w swoim zawodzie.

Drugi przykład (znowu Czesi!) — daje nam Bata! Ojciec jego był szewcem, który klepał biedę, by syna wykształcić. „Niewdzięczny" syn nie został urzędnikiem według marzeń ojca, lecz powiedział:

— „Tata, ty byłeś szewcem i mogłeś mnie posyłać do szkoły. Teraz mając wykształcenie, mam lepszy pogląd na świat. Dlaczego więc nie miałbym zostać szewcem i pomóc ci w interesie, wprowadzając kilka drobnych zmian?"

Bata został szewcem i wprowadził kilka zmian. Wykształcenie nie stało mu na przeszkodzie, lecz było pomocą.

Trzeci przykład. Siedziałem w *Labour Exchange*, czekając na kolejkę i byłem świadkiem takiej rozmowy:

Jednemu ze starszych kolegów wojskowych, z wykształceniem, zaproponowano posadę zastępcy komendanta grupy roboczo-budowlanej. Mieszkanie, wyżywienie i 5 funtów tygodniowo. Pan ten jednak odmówił, dowiedziawszy się, że nie będzie komendantem, lecz zastępcą. Rozumiałem go doskonale. Po jego wyjściu — rozmowa, którą słyszałem, była mniej przyjemna. Jeden z urzędników biura zwrócił się do drugiego i powiedział:

— „Niedługo ci sami ludzie będą na kolanach tu wracali, prosząc o pracę, ale wszystkie będą już zajęte!"

*

Kto uważa, że z tych czy innych powodów innej pracy podjąć się nie może, niech zada sobie pytanie: „Co dalej?"

Wyboru wielkiego nie ma. Znam takich, którzy powiedzieli mi, że jeżeli mają podjąć się pracy, do której wprost ich zmuszają, to wolą w ogóle nie pracować. Żaden z tych, którzy mi mówili, że nie dadzą się zmuszać, poniżać, zaprzepaszczać — nie podał mi rozwiązania... To znaczy nie poinformował mnie o nim. Sam dowiadywałem się później, że jest już w Polsce.

Wiem, że dla każdego, kto chce założyć interes w W. Brytanii, przepisy, zwyczaje, sposoby, formularze, urzędy, są jedną wielką dżunglą. Proszę mi jednak wierzyć, że dżungla ta nie jest tak straszna, jak wygląda. Trzeba się raz zdecydować na krok. W dżungli zaś są utarte, wycięte drogi, którymi już niejeden przeszedł.

Że jest dużo niebezpieczeństw, dużo dzikich zwierzaków — to prawda. Ale to nie jest chyba najlepsza droga? Nikt nie śmie powiedzieć, że to jest gładka równia pochyła.

Potrzeba dużego zaparcia się siebie samego, dużo woli i charakteru. Możemy stracić część balastu wiadomości niepotrzebnych, zatrzymamy zaś te, które w walce o byt są potrzebne.

JAN POWERSKI

W kraju prawdziwej Europy

Studenci polscy w Belgii

Dwa miesiące biurokracji i trzy i pół godziny jazdy

Jeśli zatoczymy łuk, obejmujący możliwie największą część wolnego jeszcze kontynentu Europy, to ostrze cyrkla znajdzie się gdzieś w okolicach Brukseli. Jeśli przejrzymy statystyki wskaźników produkcji, czy — co jest znacznie bardziej zabawne — ilości sprowadzonych po wojnie amerykańskich samochodów, zobaczymy na pierwszym miejscu Belgię. Belgia jest także pierwszym krajem w Europie, który mając komunistów w rządzie, zdołał się ich stamtąd pozbyć. I właśnie w Belgii znajduje się najlepiej zorganizowany polski ośrodek akademicki na Kontynencie.

Nie należy z tego zestawienia faktów wnosić, że to właśnie polscy studenci wywarli tak zbawienny wpływ na miejscowy układ stosunków. Ale w każdym razie środowisko wydaje się godne poznania. Zjawili się w Brukseli na jesieni 1945, a już w trzy miesiące później stali się centralą organizacyjną dla wszystkich polskich skupisk akademickich na Kontynencie.

Tyle mniej więcej można dowiedzieć się w Londynie. Prócz tego parę nazwisk i adresów. Wyjeżdżamy!

Kensington od Place de Brouckère dzieli godzina jazdy taksówkami, półtorej godziny lotu i dwa miesiące biegania po najróżniejszych urzędach. Nie pamięta się jednak o tym najnieprzyjemniejszym etapie podróży, wędrując w upalny majowy dzień słoneczną ulicą Vanderkindere i wyszukując chytrze zamaskowane numery domów. 276 — rzut oka do notesu — tutaj. Drzwi otwarte.

W brukselskim „Bratniaku"

Jesteśmy w siedzibie Bratniej Pomocy Studentów Polskich w Belgii.

W świetlicy na lewo jakieś puszyste stworzenie rodzaju niewątpliwie żeńskiego wygrywa gamy na pianinie. Imponujących rozmiarów aparat radiowy z adapterem i stosem płyt. Stół. Trochę gazet. Pokój w głębi zastawiony szafami bibliotecznymi i ozdobiony uroczą bibliotekarką.

— Zarząd? Na pierwszym piętrze, schodami na prawo, tędy proszę. Biblioteka? Przeszło dwa tysiące tomów. Ogromną większość stanowią podręczniki i skrypty, zakupione z funduszu pomocy naukowych, ofiarowanego Bratniej Pomocy przez wojsko. Reszta to dary osób prywatnych i instytucji polskich. Zbierano książkę do książki.

Pomaszerowałem na górę. Tabliczka na lewo: „Oddział Bruksela" — tłok. Tabliczka na prawo: „Zarząd Główny". Klekocą dwie maszyny do pisania. Wchodzę.

Wysoki, szczupły prezes, w wojskowych spodniach i dziwnie na niego pasującej marynarce, okazuje się znacznie mniej groźny, niż urzędowy wygląd lokalu. Mówię mu to. Śmieje się:

— Nasz lokal też nie jest taki straszny. Tylko tutaj są biura. Na górze mamy już jedynie mieszkania kilku kolegów. To piętro zresztą wkrótce również ulegnie „uprywatnieniu". Dom niestety nie jest nasz, tylko wynajęty — i trzeba robić oszczędności, aby każdy grosz móc poświęcić na bezpośrednią pomoc. Wskutek kurczenia się funduszów stypendialnych, płynących dotychczas ze źródeł wyłącznie wojskowych, sytuacja staje się coraz poważniejsza. W roku ubiegłym mieliśmy 600 członków, w tym prawie 500 stypendystów, obecnie jest 400 członków, a na 300 stypendystów obiecują nam na rok przyszły zaledwie 100 stypendiów. Grozi to właściwie rozbiciem całej naszej grupy...

Jedność battle-dressôw i kokietowanie przyszłości

— Czy zostaje pan tutaj na dłużej?

— Chciałbym zwiedzić trochę Belgię, — odpowiadam — objechać skupiska polskie...

— Świetnie. Bo ja tu robię wykład, a byłoby lepiej, gdybyśmy do tej rozmowy wrócili po zakończeniu objazdu. Proponuję go zresztą zacząć od Brukseli, a ściślej mówiąc od naszej stołówki, gdzie właśnie zaczynają wydawać obiad.

— Daleko?

— Piętnaście minut spaceru.

Idziemy. Po drodze stawiam jeszcze jedno pytanie.

— Jaki procent studentów stanowią żołnierze Polskich Sił Zbrojnych?

— Około 90%. W tym połowę stanowią b. żołnierze A.K., 25% b. jeńcy z kampanii wrześniowej, a resztę — uczestnicy kampanii we Francji, 1. Dywizji Pancernej i jednostki tylko — z innych formacji. Zresztą różnice „pochodzenia" zacierają się szybko. Jednakowy *battle-dress*, który przez długie miesiące po „zakończeniu" wojny był strojem (z braku innych) prawie wszystkich naszych kolegów, stał się prawdziwym symbolem jedności. Nie znaczy to, że nie ma żadnych różnic...

— Sprawa powrotu do Kraju?...

— Tak. Naszym zdaniem jest to kwestia czysto indywidualnej decyzji. Niewątpliwie istnieje cały szereg ludzi, których praca dla Polski będzie wydatniejsza w Kraju, niż na emigracji, a którym należy umożliwić zdobycie wiedzy fachowej na uczelniach zagranicznych. Z drugiej strony brak środków egzystencji po prostu zmusza szereg wartościowych jednostek do powrotu. Niektóre z nich nawet starają się już powiększyć swoje szanse w Kraju przez rozwijanie tutaj działalności, na którą mógłby łaskawym okiem spojrzeć poselstwo reżimowe. To jest jedna z naszych bolączek. Wolałbym jednak i tę sprawę pozostawić bezpośredniej pańskiej obserwacji.

Niedoskonałość akademickiego budżetu

Stołówka, prowadzona zresztą nie przez Bratnią Pomoc, lecz Związek Harcerstwa Polskiego, mieści się w dużym, nowoczesnym budynku, zajętym częściowo na mieszkania studentek polskich, częściowo na mieszkania dla małżeństw studenckich oraz pracowników naukowych i administracyjnych Polskiego Instytutu Naukowego w Belgii, dysponującego — po likwidacji niesławnej pamięci Ośrodka Wyższych Studiów Polskich w Belgii — funduszami stypendialnymi. Biura Instytutu mieszczą się również w tym budynku.

Obiad „studencki" w stołówce kosztuje 15–20 fr. Jest pustawo. Zaczynam na ten temat rozmowę z siedzącym przy mnie studentem.

— Dlaczego? Wymagania budżetowe, proszę pana. Jestem w „*Ecole Sociale*". Tam kładą duży nacisk na te rzeczy, więc przez półtora roku usiłowałem forsownie skonstruować swój budżet na jakichś rozsądnych podstawach. Nie wychodziło. Stypendium wynosi 2.000 fr. belg. miesięcznie — minimalna płaca dla pracowników belgijskich wynosi w Brukseli 3.000 fr. A mnie ze wszystkich rachunków wychodziło, że jeśli chcę sobie pozwolić na luksus własnego pokoju, teatru raz na miesiąc i jadania co dzień obiadu, to muszę wydawać około trzech i pół tysiąca. Możliwości dorabiania w Belgii są bardzo niewielkie. Trzeba więc oszczędzać.

Wyszedłem z obiadu, nie odczuwając wstrętu na myśl o zjedzeniu drugiego.

Zapał, środki i osiągnięcia

Ruszyłem do Gare du Nord, aby rozpocząć swój objazd po Belgii.

...Stare uniwersyteckie Louvain, dymiące kominami Liège i portowa Antwerpia, szczycąca się sławą swoich dwóch akademii handlowych; gotycka Gandawa, gdzie grupki polskich entuzjastów, nie znających języka francuskiego, a natomiast władających biegle angielskim i niemieckim — porwała się na studia w języku flamandzkim, co im zresztą zupełnie nieźle się udaje; zaciszne Gembloux z wyższą szkołą rolniczą...

Wszędzie ci sami ludzie i wszędzie te same problemy: środki materialne, zatrudnienie, powrót do Kraju. Trafiłem właśnie na okres gorących dyskusji wywołanych deklaracją ideową ogłoszoną przez Zarząd Główny Bratniej Pomocy. Nie słyszałem głosów zasadniczej krytyki, ale wyrażana była troska o to, jak władze reżimowe „tam" będą zapatrywać się na przynależność do podobnie „faszystowskiej" organizacji. A przecież emigracja potrzebuje określenia swego światopoglądu.

I znów Bruksela.

Wyniki naukowe belgijskiego środowiska studenckiego są godne podkreślenia: 6 doktoratów, 12 stopni magisterskich, 16 nowych inżynierów i ponad 200 pomyślnych wyników egzaminów przejściowych — to rezultaty nad spodziewanie pomyślne, jak na pierwszy rok pracy w obcym języku, często po długiej przerwie i w nienajlepszych warunkach.

Na zakończenie — rozmowa z kierownikiem urzędującego w Brukseli referatu kontynentalnego Zrzeszenia Studentów Polskich Zagranicą.

— W akcji naszej Belgia zajmuje stanowisko centralne. Nie jest przypadkiem, że tutaj umieściliśmy naszą komórkę kontynentalną. Główne problemy to: ewakuacja polskich studentów z Niemiec, gdzie warunki są pod każdym względem nie do wytrzymania, oraz utrzymanie za wszelką cenę możliwie najliczniejszego środowiska akademickiego w Belgii, gdzie warunki studiowania są w porównaniu z innymi krajami niemal idealne. Mamy tutaj oparcie w Polskim Instytucie Naukowym, mamy ostatecznie możliwości starania się o pracę, mamy liczną polską emigrację zarobkową, która potrzebuje naszej współpracy.

— A na razie nie tracimy humoru i pracujemy.

Bruksela, w maju.

OKSZA

Kłopoty Antoniego

Nie widziałem Antoniego od paru miesięcy. Kiedy go zobaczyłem ostatnio, wyglądał rzeczywiście źle. Z natury potężny chłop, przeszło dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, nieco powolny, ale za to pogodnego usposobienia. Teraz schudł wyraźnie, oczy mu się zapadły, a uśmiech nabrał cech niespotykanej u niego nerwowości.

Słyszałem, że ma jakieś kłopoty ze swoją szkołą powszechną, ale wydawało mi się to dziwne. Przecież nauczycielstwo jest jego zawodem. Lata niewoli wojennej nie przetrąciły mu kręgosłupa i widziałem go przy robocie w Niemczech, gdzie jako komendant obozu sześciuset D.P. dzielnie sobie dawał radę, zarówno z niezbyt przyjemnymi władzami francuskimi, jak i z burzliwymi temperamentami rodaków. Z zimną krwią likwidował strzelaniny na obozowych weselach, a troska o prowiant nie wytrącała go z równowagi, bo miał zawsze trochę martwych dusz i jego obóz był najlepiej karmiony w całym okręgu. Nie był nigdy niedołęgą, a teraz rozkleił się zupełnie z powodu szkoły powszechnej — co najmniej dziwne.

Pomału zaczął opowiadać.

Chłopcy są przerośnięci, większość ma od szesnastu do dziewiętnastu lat, poznali życie wojenne z praktycznej strony i nauka ich nie bawi. Wieczorami wymykają się z obozu i wracają późno w nocy. Chcą rozrywek i każdy sposób zdobycia pieniędzy na nie jest dobry. Kiedy nie przychodzą do szkoły, nie ma na nich sposobu. Perswazja i kara są im jednakowo obojętne — a zresztą nie ma w stosunku do nich żadnej egzekutywy.

— A mnie wstyd — wybuchnął w końcu Antoni — po prostu wstyd. Oczywiście w raportach to wszystko ładnie wygląda — zapał do nauki i tak dalej. W rezultacie czasami na lekcję przychodzi piętnastu uczniów zamiast dwudziestu pięciu. A raz wszyscy zastrajkowali i poszli do lasu.

— Dlaczego mówisz o dwudziestu pięciu? Przecież miałeś czterdziestu!

— Piętnastu udało mi się ulokować na różnych kursach samochodowych. Trudno to idzie, bo kursy są organizowane psim swędem, z prywatnej inicjatywy przy kompaniach transportowych, które mają jeszcze tabor.

— A na kursy uczęszczają chętnie?

— Tak, bo to ich zbliża do możliwości zarobkowania. Zresztą psychicznie są to już ludzie dojrzali, chociaż oczywiście ich mądrość życiowa jest dosyć jednostronna.

— To po cóż ten cały kram? Trzech nauczycieli na piętnastu chętnych do nauki?

— Właśnie, właśnie, ale na szczęście zdecydowano już podobno tych ostatnich piętnastu przesłać do obozu cywilnego, do większej szkoły powszechnej.

— Nie widzę jednak, żebyś ty się z tego cieszył.

Antoni pokiwał ponuro głową.

— Teraz zaczyna się nowy kłopot: co ja mam robić. Chciałbym być kucharzem. Wiesz, że umiem gotować na własne potrzeby i lubię to. Proponowano mi posadę szefa kuchni w angielskiej restauracji za £12 tygodniowo. Ale przecież tego jeszcze bym nie potrafił. Cały dzień chodziłem, pytałem, gdzie by można dostać się na praktykę do kuchni, bodaj bezpłatnie, czy na kursy kucharskie — ale na próżno. Pozostaje robota w cegielni.

— A czy u was w obozie nie ogłasza się żadnych kursów fachowych?

— O ile wiem, kursy organizuje się w obozach w zależności od tego, jacy specjaliści są pod ręką jako instruktorzy. Jeżeli masz szczęście być w obozie, gdzie są kursy fryzjerskie, to możesz zostać fryzjerem. A jeżeli w twoim obozie są tylko kursy angielskiego ....

— To możesz zostać Anglikiem! — dokończyłem i na pocieszenie wyciągnąłem parę numerów „Polski Walczącej".

— Patrz w numerze szesnastym, „O zatrudnieniu", gdzie czytamy: „jak dotychczas, zagadnienie to nie jest właściwie postawione. Szkolenie zawodowe w ramach PKPR nie objęło zbyt wielu i.t.d." W numerze siedemnastym artykuł „W sprawie szkolenia zawodowego" omawia szereg rezolucji powziętych na ostatnim Kongresie Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii. Jednak pisze się coś na ten temat, mówi...

— Tak, u nas też się mówi, ale rzeczy raczej przykre. Chociaż być może szereg żalów pod adresem naszej „góry" jest niesłuszny, to jednak są. Słyszymy ciągle w mowach, że nie jesteśmy emigracją zarobkową, tylko — polityczną.

— Być może, ale cóż ci to szkodzi?

— Jakto co? Żołnierz myśli, że nie powinien się martwić o zarobek, a wystarczy mu politykowanie. Weź naszą prasę do ręki — same spekulacje polityczne. Tym się trudno najeść!

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, zaproponowałem polubownie piwo.

Potem już zgodnie stwierdziliśmy, że oprócz tego, co się mówi i pisze, należało by coś robić. Że jakkolwiek największe zapotrzebowanie istnieje na górników, robotników rolnych, budowlanych i służbę domową, to w wielu rzemiosłach istnieje również szerokie pole do popisu. Że zawsze lepiej być robotnikiem wykwalifikowanym. Że jeśli tego nie robi PKPR — to należy ruszyć istniejące fundusze społeczne. Jeśli ich nie ma — to należy je tworzyć i forsować całą parą szkolenie zawodowe. Nie ma pilniejszych rzeczy — blisko dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi czeka na dostęp do życia cywilnego. Należy im to ułatwić. To jest zadanie dla naszych emigracyjnych organizacji.

Tak ustaliliśmy po trzecim „pint of bitter", a ja ze swojej strony obiecałem Antoniemu wyszukać praktykę kucharską.

No i teraz szukam, klnę i szukam...

Z. CZECH

Listy do Redakcji

GŁOS POLSKIEGO ROBOTNIKA W W. BRYTANII

Jak londyńska gazeta „*Evening Standard*" doniosła w dn. 31 maja br. — robotnicy budowlani w Wades Hill nie zgodzili się pracować z Polakami, chociaż miejscowa Rada budowy domów zwróciła się z apelem o pozytywne stanowisko w tej sprawie.

Rada zapewniła, że Polacy będą użyci jedynie jako robotnicy niewykwalifikowani i do czasu, póki rynek pracy nie zostanie nasycony przez brytyjskie siły. Zapewniono również, że wynagrodzenie Polaków będzie utrzymane w ramach stawek uznanych przez związki zawodowe.

Robotnicy natomiast użyli argumentu, że brak brytyjskich sił roboczych jest spowodowany przez niskie płace, a zaangażowanie do pracy Polaków przesądza żądania o podwyżkę wynagrodzenia.

Trudności te wynikają z niejasnej sytuacji, w jakiej znaleźli się Polacy dzięki decyzji związków zawodowych, które postawiły warunek, że z chwilą uzyskania robotnika brytyjskiego na dane stanowisko Polak musi natychmiast ustąpić. Ograniczenia te, nieuzasadnione przez rzeczywistą sytuację ekonomiczną, wprowadzają możność dowolnej interpretacji, psują tak potrzebną dla obu stron współpracę, hamują odbudowę kraju. Przecież W. Brytania rozpaczliwie potrzebuje mieszkań, setki ludzi jest pozbawionych własnego ogniska domowego, rozbija to rodziny, ułatwia demoralizację, obniża stopę życiową.

Wprowadzenie robotnika polskiego do przemysłu budowlanego (i do innych) nie tylko nie godzi w interes robotnika brytyjskiego, ale jest nieodzownie potrzebne dla ogólnej odbudowy gospodarki, a przez to i polepszenia bytu brytyjskiej klasy pracującej. Wysuwanie w obecnej chwili, która zapowiada się na długi okres czasu, możliwości bezrobocia w przemyśle budowlanym jest śmiesznym straszakiem. Jeżeli gdzieniegdzie rzeczywiście występuje zjawisko braku pracy, to jest to wynikiem właśnie zastoju w zasadniczych przemysłach, do których nieraz utrudnia się dostęp innemu robotnikowi.

Argument obniżania wartości pracy przez Polaków również nie wytrzymuje krytyki. Polski robotnik w W. Brytanii nie rekrutuje się z biedoty, która chwyta się byle jakiej pracy za kawałek chleba. Jest to przecież b. żołnierz wojsk pod dowództwem brytyjskim, który podczas wojny był dobrze uposażony i który sceptycznie patrzy na wynagrodzenie, często zupełnie niewspółmierne do jego kwalifikacji i wartości. Gdyby dano mu w W. Brytanii równe szanse i prawa, gdyby związki zawodowe były bardziej socjalistyczne, a mniej nacjonalistyczne, i chroniły go przed wyzyskiem, jak chronią robotnika brytyjskiego — na pewno ten robotnik polski walczyłby wraz z robotnikiem brytyjskim ramię w ramię o lepsze warunki płacy i prawo do dobrobytu.

Kierownicze czynniki gospodarcze w W. Brytanii dopuszczając robotnika polskiego do pracy, wykazały zrozumienie, że jedynie odważne, z rozmachem i bez przesądów podjęcie dzieła odbudowy W. Brytanii może powrócić ją do poprzedniej świetności. Polityka „smażenia się we własnym sosie" do niczego nie doprowadzi.

Polacy, których przygarnęła W. Brytania, mogą i chcą dopomóc jej w tym ciężkim okresie. Leży to przecież także w ich osobistym interesie jako ludzi mieszkających w tym kraju. Nie można jednak, podając im z jednej strony rękę, dopuszczać, aby z drugiej strony wciąż ktoś grymasił, odpychał i szturchał.

W roku 1941, w okresie możliwości inwazji, stałem na obronie odcinka wybrzeża w Szkocji. Podczas przygotowywania stanowisk obronnych koło węglowego portu Methil, stwierdziliśmy ze zdumieniem, że ręka jakiegoś szkodnika każdej nocy pruje nam nożem worki z piaskiem na stanowiskach. Znając nastawienie pewnej grupy mieszkańców, szczególnie z dzielnicy Methilhill, domyśliliśmy się wreszcie, że to był wyraz uczuć antypolskich. Powtarzam — działo się to w chwili zagrożenia Wysp Brytyjskich przez inwazję niemiecką!

Przypomina mi się to nieraz obecnie, ale też przypominam, że opinia brytyjska w tym wypadku nie różniła się od naszej. Mam więc nadzieję, że i w obecnych czasach zwycięży rozsądek i dobra wola.

Londyn, 1 czerwca.

Robotnik—b. żołnierz
(nazwisko znane Redakcji)

*

Por. J. Ch. Findo-Gask Camp, nr. Perth

Dziękujemy serdecznie za tak przyjazne słowa. List Pana przekazaliśmy do Biura Inf. i Porad SPK, które nadeśle odpowiedź na zapytanie zawarte w Pańskim liście.

Stój zawsze na straży dobrego imienia Polaka!

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK
20, Queen's Gate Terrrace, London, S.W.7.
Oddział w Edynburgu: 13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

WŁAŚCIWE KORZYSTANIE Z OBSŁUGI INFORMACYJNEJ

Różnorodność problemów napotykanych przez Polaków urządzających swe życie poza granicami Kraju spowodowała konieczność zorganizowania odpowiedniej służby informacyjnej. W wielu wypadkach chodzi o konkretną radę i pomoc.

Szereg organizacji społecznych w W. Brytanii prowadzi już od dłuższego czasu akcję informacyjną. W pierwszym rzędzie należy wymienić Stowarzyszenie Techników Polskich, Stowarzyszenie b. Urzędników R.P., Związek Rzemieślników i Robotników i oczywiście trzy Samopomoce b. wojskowych. Organizacje te służą przede wszystkim radą swym członkom, ale nie zamykają się i przed innymi rodakami, dotychczas niezrzeszonymi. Szerszą obsługę informacyjną zamierza również zorganizować Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii.

Ilość osób potrzebujących informacji i rady jest tak duża, że powstała koniunktura dla prywatnych biur tego rodzaju. Załatwiają one sprawy analogicznie, z tą jednak różnicą, że za czynności pobierają opłaty. Fakt obciążania klientów za dawane usługi jest zupełnie zrozumiały. Prywatne biuro musi pokryć swe wydatki i przynieść dochód. Chodzi tylko o to, by usługi były pełnowartościowe, a opłaty umiarkowane.

Dowiadujemy się z listów naszych członków, że niestety nie zawsze tak bywa. W każdym razie pobieranie dosyć wysokiej opłaty wstępnej, zanim jeszcze zostanie wyjaśnione, czy biuro jest w stanie sprawie dopomóc — nasuwa wątpliwości. Można mieć również poważne zastrzeżenia co do przyjmowania nazw o charakterze społecznym przez prywatne instytucje dochodowe.

Nie występując zasadniczo przeciwko działalności prywatnych biur informacyjnych dla Polaków, zwracamy uwagę naszych członków na istnienie analogicznych komórek społecznych. Załatwiają one interesantów bezpłatnie. Może się zdarzyć, że jakieś biuro prywatne załatwi daną sprawę lepiej. We własnym jednak interesie należy zawsze zaczynać od kontaktu z placówką społeczną. Dopiero gdy nie będzie w stanie pomóc, należy zwracać się do odpowiedniego biura prywatnego. Dla członków SPK taką placówką informacyjną jest postawione na należytym poziomie Biuro Informacji i Porad w Londynie i Edynburgu.

ZA NIECIERPLIWOŚĆ TRZEBA DROGO PŁACIĆ

O różnicy w korzystaniu ze społecznego biura informacyjno-poradniczego a z podobnego — prywatnego może pouczyć następujący fakt:

Pewna osoba zwróciła się do jednego ze społecznych biur z prośbą o załatwienie sprawy, ponosząc koszta tytułem zwrotu wydatków — w wysokości 5s. Ostateczne załatwienie sprawy wymagało jednak czasu i niecierpliwy interesant zwrócił się tymczasem do jednego z biur prywatnych wpłacając mu na koszta £100! Wkrótce potem biuro społeczne otrzymało pozytywne załatwienie sprawy. Ponieważ w tym wypadku trudno było udowodnić, że interwencja biura prywatnego była niepotrzebna, pieniądze niecierpliwego interesanta przepadły.

Członkowie SPK mając do dyspozycji własną odpowiednią placówkę — BIP, godną pełnego zaufania — nie są narażeni na tak przykre doświadczenia.

PODATEK DOCHODOWY ŻONY W W. BRYTANII

Zeznanie dochodowe męża musi również zawierać wysokość dochodu żony, nawet gdy jest on uzyskany niezależnie i opodatkowany u źródła. Dochód mężatki żyjącej wspólnie z mężem traktuje się jako dochód męża i dlatego musi on ująć go w swych zeznaniach podatkowych.

Mąż jest zwolniony od tego obowiązku jedynie w wypadku złożenia podania o osobne obliczenie podatku od dochodów żony. Podania tego rodzaju należy składać przed 6-ym lipca danego roku podatkowego. Trzeba pamiętać, że osobne zeznanie o dochodach żony nie przynosi żadnych ulg podatkowych i w wyniku podatek pozostaje taki sam, jak w wypadku łącznego zeznania podatkowego męża.

Gdy żona posiada niezależny dochód uzyskiwany z wynagrodzenia za pracę, to przysługuje jej zwolnienie podatkowe od 7/8 tego wynagrodzenia, jednakże kwota w ten sposób zwolnionego podatku nie może przekraczać £110. Zwolnienie to przysługuje niezależnie od ulgi rodzinnej £180 dla małżeństwa.

Redaguje: Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7— tel. WEStern 0747.

Kiedy wlazłeś między wrony . . .

„Two pennies“ = „twopence“

Wracam do liczby mnogiej. Od „*penny*“, brzmi ona „*pennies*“. Jest to forma poprawna i prawidłowa, dlatego rzadko używana. Mówisz w „basie“ do konduktora nie „*two pennies*“, tylko „*twopence*“, wymawiając „ta pens“. Kupujesz bilet nie za „*three pennies*“, ale za „*three pence*“, wymawiając przeważnie „thru pens“, gdy zaś jedziesz niedaleko, bilet kosztuje nie „*one and a half-penny*“, tylko „*three half-pennies*“ (trzy połówki pensa) wymówione jak „thri hej pennis“. Kiedy używać formy poprawnej „*pennies*“, kiedy popularnej „*pence*“? „*That is the question*“. To jest pytanie, jak mówi Hamlet u Szekspira.

Przyjmijmy, że na krótko dałeś opanować się zgubnemu szałowi gry w „*amusements*“, że pokochałeś tę grę i oddajesz się jej w barach. Rozpoczynając zabawę, mówisz do siebie: „*I can lose ten pence*“ (mogę stracić dziesięć pensów). Czyli powinieneś mieć, gotowych na stracenie, pojedyńczych dziesięć pensów, więc „*ten pennies*“, masz zaś n.p. srebrnego sykspensa, jednego trojaka i dwie półpensówki. Z tą monetą, choć przedstawia ona kapitał w wysokości „*ten pence*“, nie możesz zacząć zabawy i musisz całą sumę zmienić na „*ten pennies*“. A zatem w wypadku „*ten pennies*“ istotę rzeczy stanowi to, że twój kapitał zakładowy wyraża się w dziesięciu, wytartych jak czoło, miedziakach, w wypadku zaś „*ten pence*“ idzie o wartość ogólną, bez względu na skład.

To proste i łatwe, prawda? Podobnie, gdy chcesz telefonować z automatu, a masz dwa pensy w postaci n.p. czterech półpensówek, musisz „*two pence*“ zmienić na „*two pennies*“, w tym wypadku nie na „ta pens“, gdyż inaczej Anglik pozna węchem, że jesteś cudzoziemcem, słowo zaś „cudzoziemiec“ nie jest tu bynajmniej komplementem, przeciwnie, ma znaczenie trochę jakby obelżywe, choćby mu nie towarzyszył przymiotnik „*bloody*“. („*Bloody*“ znaczy dosłownie „krwawy“, „pokrwawiony“, „okrutny“, jednakże w mowie brukowej jest to epitet wulgarny, odpowiadający mniej więcej naszemu „za.....“ — resztę dośpiewaj sobie, Adasiu). Ale i samo słowo „*foreigner*“ wystarczy. Pewien Francuz, Félix de Grand Combe, w książce „*England, this way!*“ (Anglio, tędy!) cytuje fakt, że jakiś Anglik, profesor uniwersytetu, powitał kolegę z kontynentu zwrotem: „*Excuse me calling you a foreigner*“. (Proszę mi wybaczyć, że zwę pana cudzoziemcem).

Jeszcze o pensach: G.B.S. (czyli stary Shaw) ma dom na wsi w bezpośrednim sąsiedztwie urzędu pocztowego, z reguły jednak, zamiast przyjść osobiście na pocztę, prosi pisemnie o przysłanie mu marek. Gdy urzędniczka, Mrs. Lynth, pewnego razu spytała go, dlaczego stale przysyła zamówienie na pocztówce, odrzekł skromnie:

„*My dear woman, you shouldn't complain: you will be able to sell them* (to jest, owe pocztówki) *for two and halfpenny when I am dead.* (Moja dobra kobieto (kobiecino), nie powinna pani się skarżyć; gdy umrę, będzie pani mogła sprzedawać je po dwa i pół pensa).

„2½*d.*, *indeed!* — rzekła Mrs. Lynth — *Why, I sell them for* 10*s.* 6*d.*, *now you're alive*“. (Rzeczywiście! Po dwa i pół pensa! Dlaczego, skoro sprzedaję je po dziesięć szylingów i sześć pensów teraz, gdy pan żyje).

„Urząd pocztowy“ zwie się po angielsku „*Post Office*“, możesz jednak użyć skrótu „P.O.“ W znakomitym piśmie humorystycznym „*Punch*“ znalazłem karykaturę przedstawiającą dialog między kimś, kto pyta i kimś, kto wyjaśnia:

„*Post Office? Turn right at the R.S., L.N.E.R., and fifty paces beyond the T.H., turn left between the County M. and A.G. and the Municipal P.H. and W.H., continue past the N.F.S. depot and the local T. of V., and you'll find the P.O. immediately opposite the main gate of the P.P. and R.G.*“ (Urząd pocztowy? Niech pan skręci na prawo, przy dworcu Londyńsko-Północno-Wschodniej Kolei, i o pięćdziesiąt kroków za *Town Hall* (magistrat) proszę skręcić na lewo pomiędzy powiatowym M. i miejskim A.G. (nie wiem, żeby mnie tak szlag trafił!) i W.H. (pojęcia nie mam), następnie proszę iść dalej za skład N.F.S. (*National Food Stores**), i znajdzie pan Urząd Pocztowy bezpośrednio na wprost głównego wejścia do Urzędu Parafialnego i Królewskiego Garnizonu (nie jestem pewien, ale uzupełnię przy sposobności).

Ażeby zakończyć ten wypoczynkowy nawias, dodam, jeszcze kilka słów w sprawie cudzoziemców na gruncie Anglii. Żyję tu dosyć długo i — obym nie powiedział w złą godzinę! — nigdy nie spotkałem się ze zwrotem „*bloody foreigner*“ w żywej mowie. Również nie zdarzyło mi się widzieć napisów na parkanach, kioskach, murach i t.d., zredagowanych jako „*Out, foreigners!*“ Raczej tubylcy używają w tym wypadku bardzo często zwrotu: „*Out Aliens!*“ (Obcy, won!), ale słowo „*Alien*“ pisane jest niemal zawsze dużą literą (co bezwarunkowo stanowi jakby znieczulenie).

Wytchnęliśmy trochę. W imię Boże, do pracy! Rzeczowniki, kończące się na *-f* lub *-fe*, zmieniają w l. mn. *-f* na *-v*, starając się zrobić to szybko, przed otrzymaniem końcówki *-s*, względnie *-es*. „*Calf-calves*“ (cielę, ta), „*wife-wives*“ (żona, y), „*knife-knives*“ (nóż-noże), „*leaf-leaves*“ (liść, cie). „*Both wives of Richard let slaughter themselves like two calves with the knives*“. (Obie żony Ryszarda dały się zarżnąć nożami jak cielęta.)

Trochę wyjątków, którymi nie należy obciążać pamięci, dlatego też je cytuję: „*chief*“ (naczelnik), „*cliff*“ (skała), „*grief*“ (nieszczęście), „*roof*“ (dach) i spora garsteczka innych nie zmieniają *-f* na *-ve* w l. mn., tworząc ją na jedno kopyto („*hoof-hoofs*“), zatem „*chiefs*“, „*griefs*“, „*cliffs*“ i t.d.

„*I had no thought then of husband or lover,*
I was traveller, the guest of a week;
Yet when they pointed „the white cliffs of Dover“,
Startled I found there were tears on my cheek“.

(Nie myślałam wtedy o mężu lub kochanku, byłam podróżniczką, gościem, który ma tu spędzić jeden tydzień, lecz gdy mi wskazali palcem „białe skały Dowru“, zdziwiona, stwierdziłam, że mam łzy na mym policzku— pisze młoda poetka amerykańska, Alice Duer Miller, w opisującym Anglię zbiorku wierszy p.t. „*The White Cliffs*“).

O ile jednak słowo „*chief*“ (naczelnik, szef, dowódca) ma l. mn. zawsze „*chiefs*“, o tyle „*thief*“ (złodziej, ale nie kieszonkowy, który zwie się „*pick pocket*“, stąd często spotykany napis „*Beware of Pick pockets*“ — strzeż się złodziei kieszonkowych), — otóż „*thief*“ zawsze zmienia w l. mn. *-f* na *-ve*: „*thieves*“.

Natomiast „*handkerchief*“ (chusteczka do nosa) czy używana czy też czysta, poprzestaje na swoim własnym *-f*, stąd „*handkerchiefs*“. „*The thieves embroidered the initials on the handkerchiefs of the chiefs*“. (Złodzieje wyhaftowali monogramy na chusteczkach naczelników.)

Najlepiej jednak poucza nas o liczbie mnogiej tygodniowe zestawienie twojej i jej bielizny oddanej do prania przez ciebie, o, Adasiu:

3 *shirts* (koszule)
17 *pairs of drawers* (niewymowne)
pair of socks (para skarpetek)
21 *handkerchiefs* (21 chustek do nosa. Jesteś w Anglii)
1 *pyjamas*
2 *face-towels* (ręczniki do twarzy)
0 *bath-towels* (ręczniki kąpielowe)
2 *sheets* (prześcieradła)
2 *pillow-cases* (poszewki)
2 *night-dresses* (szlafroki)
2 *knickers* (majtki)
2 *pairs of stockings* (pończochy)
2 *chemises* (koszule damskie)
2 *brassieres* (staniki)

Słowo „*pyjamas*“ ma tylko liczbę mnogą, pochodzi zaś od hinduskiego „*pajama*“. Gdy przyjechałem tu w jednej koszuli, postanowiłem uzupełnić zapas bielizny i zachciało mi się kupić koszulę nocną, lecz nie mogłem jej nigdzie dostać. Sprzedawcy patrzyli na mnie (to było w czasie, gdy obawiano się szpiegów-paraszutystów) podejrzliwym wzrokiem. Być może, któryś z tych sprzedawców myślał sobie wtedy: „*A bloody foreigner!*“, ale mi tego wyraźnie nie powiedział. Wreszcie trafiłem do sklepu, którego właściciel spytał mnie wręcz: „*Who are you?* Gdy wyjawiłem swą narodowość, spojrzał na mnie przyjaźnie z góry i westchnął: „*Hm, Polish! Polish!... You can't get a night-shirt... We use.... Hm, you are Polish and you don't know what pyjamas are. They are a kind of sleeping suit, first introduced many, many years ago from India. A night-shirt? They were used perhaps in Queen Victoria's days but now? I will show you this sleeping suit which is unknown to you, a jacket and trousers. Look!*“ (Hm, Polak! Polak... Nie może pan nabyć koszuli nocnej... My używamy... Hm, pan jest Polakiem, i nie wie pan, co to jest „pidżama“. Jest to rodzaj garnituru do spania, wprowadzony po raz pierwszy do Anglii wiele, wiele lat temu z Indii. Koszula nocna? Była w użyciu może za czasów królowej Wiktorii, ale teraz? Pokażę panu ten nieznany panu garnitur do spania, składający się z kaftanika i ze spodni. O, niech pan patrzy!)

Tubylcy niemal do dziś dnia spoglądają na nas tak zdumionym okiem, jak owa mała królewna francuska, która bawiąc się z niańką, nagle spojrzała na jej ręce i krzyknęła: „Jak to? Więc ty także masz po pięć palców u każdej dłoni?!“

Uwaga: „*Linen*“ — bielizna, płótno, ma tę samą formę w l. poj. i mn. W doskonałym „*Dictionary of Dreams*“ (Słownik snów) czytamy: „*To dream of clean linen is a good omen. If you seem to be washing the linen, it is a sign that evil influences are about you. If the linen is dirty, expect a disappointment*“ (Śnić o czystej bieliźnie jest dobrą wróżbą. Jeśli ci się zdaje, że pierzesz bieliznę, jest to znakiem, że złe wpływy są dookoła ciebie. Jeśli bielizna jest brudna, oczekuj rozczarowania).

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

*) Może N.F.S. znaczy: „*National Fire Service*“? (Straż Pożarna).

Z kraju, gdzie pieprz rośnie

Był las, były piniory...

(Korespondencja własna „Polski Walczącej“)

Rio de Janeiro, maj 1947.

SZOFER-FATALISTA I CHŁOP-REALISTA

... Wreszcie autobus, stara, roztrzęsiona buda, stanął na dobre. Szofer wolno wysunął się z poza kierownicy, wysiadł, podniósł maskę motoru i zaczął coś grzebać. Pasażerowie wysiedli jeden po drugim, przeciągając się i ziewając.

— Co się stało? — zapytałem naiwnie.

— *Quem sabe?* (kto może wiedzieć?) — brzmiała odpowiedź.

— Kiedy ruszymy dalej?

— *Si Deus quiser, logo* (Jak Bóg pozwoli, niedługo).

Dzień był gorący, duszny. Po niebie leniwie sunęły pierzaste, puszyste obłoki. Na jaskrawym błękicie horyzontu mocno rysowały się oryginalne i samotne już sylwetki nielicznych piniorów (araukaria brazylijska z rodziny sosny). Faliste wzgórza, jak okiem sięgnąć, pokryte były nędznymi krzakami i chwastami. Tu i ówdzie jaśniały rdzawym, czerwonym kolorem golizny odkrywek. Kraj wyglądał pustynnie i smutno.

— A był tu las, były piniory, wielkie, masztowe — rzekł ktoś obok mnie po polsku.

Odwróciłem się. Nad rowem, biegnącym wzdłuż drogi „samochodowej“, czerwoną koleiną wijącej się wśród wzgórz stało dwu barczystych, jasnogłowych, niebieskookich kolonistów, których czerstwe, ogorzałe twarze odbijały bardzo od ciemnych, prawie oliwkowych twarzy większości pasażerów. Starszy, już dobrze ponad pięćdziesiątkę, ale krzepki jeszcze i mocny w krzyżu, pokazywał coś młodszemu, dwudziestoparoletniemu chłopakowi, najwidoczniej synowi, bo podobni byli do siebie bardzo. Podszedłem do nich.

MAŁE KÓŁKO KOMBATANTÓW

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pozdrowiłem ich.

— Na wieki wieków, amen — odparli razem spokojnie. Młodszy obrzucił mnie szybkim, badawczym spojrzeniem.

— Pan świeżo z Polski? — zapytał.

— Nie, z Anglii.

— Może był pan w Wojsku Polskim?

— Służyłem w Marynarce Wojennej.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Już bez rezerwy, serdecznie.

— Ja właśnie wracam. Byłem w Pierwszej Dywizji Pancernej. Ochotnik, widzi Pan. Kto przypuszczał, że wrócę do Ojca, a nie do Polski, jak chciałem! Jedzie ze mną jeszcze dwu kolegów. Hej, Andrzej, Józef, gdzieście się podzieli?!

Dwu, średniego wzrostu, lecz szeroko-barych młodych chłopców wysunęło się z poza autobusu. Podeszli, uśmiechając się, lecz jednocześnie oczy badały nieufnie, bez uśmiechu.

— Iń...ski, Ma...jak — przedstawili się.

Stary kolonista zwrócił się do mnie, wzruszając ramionami.

— Widzi pan, mówiłem im, tłumaczyłem. Zostańcie w mieście, pracujcie w swoim zawodzie, nic z was na gospodarstwie; ale koniecznie chcą jechać na kolonię. Powiadają, że będą orali, kiedy tu jeszcze nikt pługa nie używa. Chcą kupować ziemię, chcą zakładać kurniki, wieprze hodować! Niby w chlewach... Widział to kto!

— Ojciec swoje!... — obruszył się młody syn kolonisty. — Jeśli chcą, niech spróbują. W razie czego pomożemy; no nie?

— Pomóc pomożemy, ale lepiej byłoby w ich fachu, w ich robocie, bo to rzemieślników trzeba...

— A panowie czym są z fachu? — wtrąciłem.

— Obaj mechanicy samochodowi — odparł starszy, uśmiechając się już. — Czytaliśmy dużo o koloniach w Paranie. Mamy trochę grosza. Zawsze ziemia jest ziemią.

Starszy kolonista załamał ręce.

— Rany Boskie! Słyszy pan?... A przecież obaj są Warszawiaki i powiadają, że nigdy w polu nie pracowali. Na kolonii nawet języka portugalskiego się nie nauczą, bo u nas każdy mówi po naszemu. Tylko zmarnowanie będzie i zawód.

OPACZNY PĘD DO ZIEMI

— Wydaje mi się, że ma pan słuszność — potwierdziłem — znam osobiście już kilkunastu takich, jak panowie. Byli ludźmi miasta. Pojechali na kolonie. Kupili trochę ziemi, a ... po dwu, trzech latach uciekli, straciwszy przeważnie wszystko. Warunki są tak różne niż w Polsce, że nawet fachowi rolnicy nie mogą dać sobie rady, a co dopiero ludzie z miasta.

— Znalazł ojciec sprzymierzeńca — rzekł z przekąsem młody kolonista.

— Nie jestem niczyim sprzymierzeńcem — zaprzeczyłem — tylko że przez usta pańskiego ojca przemawia doświadczenie i rozsądek. Widziałem tutaj w Paranie nie tylko indywidualnych „kolonistów z miasta“, lecz nawet całe spółdzielnie na pozór doskonale zorganizowane i rozporządzające kapitałem, które jednak składały się z ludzi nienadających się do pracy na roli, mieszczan, rzemieślników i tp., a które kończyły się bardzo smutno.

W obecnych czasach warunki są jeszcze trudniejsze, bo lasy są wytrzebione, sposób uprawy ziemi mniej prymitywny, wymagający pewnej umiejętności, a transport i organizacja (raczej dezorganizacja) sprzedaży produktów pogorszyły się w całej Brazylii. Zresztą i starsze kolonie, tak zwane „inteligenckie“, jak choćby kolonia rolnicza „mieszczuchów“ w Afonso Penna pod Kurytybą, kończyły się rozproszeniem i pół-bankructwem. Koloniści polscy, którzy wytrzymali w ciągu trzech pokoleń na roli w Paranie, w Santa Catarina i w Rio Grande do Sul, a tu i ówdzie dorobili się nawet, to są chłopi polscy z dziada i pradziada, rolnicy od pokoleń, którzy wydarli ziemi brazylijskiej swój względny dobrobyt pazurami i pazurami się tej ziemi trzymają...

— A ilu z nas pomarło, ilu zginęło i zmarnowało się, — potwierdził stary kolonista. — Przecie wytrzymał nas zaledwie mały odsetek. Pamiętam choćby taką klęskę tyfusu w barakach na kolonii Cruz Machado, gdzie leżą kości 4.000 polskich kobiet, dzieci i kolonistów, zmarłych zaraz po przyjeździe... Ale pan zna nasze życie w Brazylii — zwrócił się do mnie.

Wszyscy czterej patrzyli się teraz innym wzrokiem... Początkowa widoczna nieufność zniknęła.

NASI POKAZUJĄ, CO UMIEJĄ

...Przerwał nam rozmowę głośny okrzyk jednego z Brazylian, skierowany do szofera, bezradnie stojącego nad motorem, wciąż jeszcze nieczynnym:

— *Então, vai ou naõ vai!* (A więc, idzie, czy nie idzie!?)

Szofer rozłożył bezsilnie ramiona na znak, że nic poradzić nie może. Tymczasem słońce świeciło już skośno i do niedawna białe chmurki nabrały koloru różowo-perłowego.

— Zbliża się wieczór — rzekł kolonista — a potem noc zapadnie szybko, jak tu zawsze. Wygląda, że będziemy nocowali na tym pustkowiu... A był tu kiedyś las, były piniory. Wszystko zmarnowały, psie krwie, i teraz jest pustynia. Andrzej, Józek, co z was za mechaniki?... Moglibyście co pomóc temu „Brazyluchowi“. Negier już zaniechał i zaraz pójdzie spać. A bo to się przejmuje!

— A da?

— Przecie, że pozwoli! Zresztą, kto go będzie pytał? Chcę przed świtem dojechać do Irati. Jutro dotrzemy na kolonię, jeśli „karrosa“ („*carrosa*“, wóz) wędziarza („wędziarz“ — sklepikarz, właściciel „*wendy*“-sklepu) będzie przed apteką, jak zwykle we środy. Na piechty nie będę latał!

Chłopcy podeszli do motoru. Pasażerowie zaraz nas otoczyli ciekawym kołem. Józef pokręcił coś koło karburatora, podmuchał, pochuchał, Andrzej pokręcił korbą, bo starter już nie miał sił. Motor ruszył, kichając z początku i prychając.

— Ale zapaskudzona maszyna! — mruknął Józef z obrzydzeniem. Pasażerowie klepali go po łopatkach, co u Brazylian jest gestem przyjaźni i uznania. Nawet senny szofer szczerzył popsute zęby.

Gdyśmy już wszyscy zajęli miejsca w autobusie, Andrzej nachylił się do mnie (obaj chłopcy mieli, jak się okazało miejsca tuż za mną) i rzekł:

— Przemówił nam pan do rozumu. Pobędziemy u Stacha na kolonii, żeby odpocząć i wrócimy do miasta. Jeśli mają takich mechaników, jak ten szofer, co nawet przeczyścić karburatora nie potrafi, to pracę znajdziemy.

— Oczywiście, że znajdziecie. A dlaczego chcieliście jechać odrazu na rolę?

— Pierwszą przyczyną był Stach. Jakoś niesporo nam będzie się rozstawać. Widzi pan, byliśmy razem we trzech, najpierw w obozie w Szkocji, potem we Francji podczas kampanii, razem uniknęliśmy nieszczęścia w jednym czołgu rozbitym pod La Falaise, a potem razem było się na okupacji w Niemczech. To jak ochotników z Ameryki Południowej zwalniali — i my poprosiliśmy o demobilizację... W Niemczech nam opowiadali cuda o koloniach w Paranie, czytaliśmy też sporo. Czytał pan może książkę „Wojciech Mierzwa w Paranie“ niejakiego Pawłowicza? Opisuje cuda o życiu na koloniach...

Na całe szczęście było dość ciemno i zacni żołnierze nie zauważyli, jak bardzo musiałem być czerwony. Czułem, że krew nabiega mi do głowy.

— Ale to jest powieść!... I to powieść o dawnych czasach... — wyjąkałem nieporadnie.

— Może być, — zgodzili się łatwo, ku mojej wielkiej uldze — lecz po przeczytaniu tego wszystkiego powiedziałem do Józka: Jedziemy na kolonie! No, i tu nas pan ma.

— A nie próbowali panowie znaleźć czego w miastach?

— Owszem, a jakże. Byliśmy już i w Rio de Janeiro, i w São Paulo i w Kurytybie. Drożyzna tu straszna, a zarobki śmiesznie małe. Przy tym bez języka ani kroku zrobić nie można. W Kurytybie dawali mi 1.000 *cruzeiros*. To przecież teraz jest 16 funtów brytyjskich. Wydało mi się mało, bo w pensjonacie, gdzie mieszkałem (a był „wredny“!) płaciliśmy z Józkiem po 25 *cruzeiros* od osoby dziennie i wszyscy mówili, że to bardzo tanio. W Rio de Janeiro za kąt (bo pokojem tej dziury nazwać nie można było!) bez okna i pod schodami, bez jedzenia zaśpiewali nam 30 *cruzeiros* za dobę!... A gdy kto chce znaleźć mieszkanie jakie takie, trzeba płacić tysiące odstępnego! W hotelach nie było miejsc zupełnie i gdyby nie przypadkowo spotkana pani-Polka, która dała nam adres pensjonatu, spalibyśmy na trotuarze... Ciągnął nas jakiś żydek wprawdzie do reżimowego konsulatu, bo oni teraz podobno polują specjalnie na żołnierzy i obiecują cuda, aby się tylko u nich rejestrować, ale powiedzieliśmy mu coś uprzejmie i do słuchu, że uciekł galopa, wołając, że my „faszyści“. Józek chciał za nim biec, ale go powstrzymałem. Na takiego to nawet nóg szkoda!

WIERNOŚĆ SOBIE I POLSCE

— Cieszę się, że taki wśród was panuje duch — odezwałem się. — A jak jest na koloniach?

— Dobrze jest, proszę pana. Lepiej nawet niż w miastach, gdzie ten i ów zyrka na pieniądze i rzekome zaszczyty, a organizacji ciągle brak. Oni teraz próbują wedrzeć się do nas przez instytucje dobroczynne. Pod pozorem pracy dla pomocy ludziom w Polsce uprawiają propagandę. Teraz bardzo rozbudowali Czerwony Krzyż, potworzyli delegatury, a każdy delegat w Rio de Janeiro, São Paulo, w Kurytybie pobiera po parę tysięcy *cruzeiros* „za pracę społeczną“. Chcą z Czerwonego Krzyża stworzyć coś w rodzaju „Związku Polaków“, zakładając „czytelnie pism z Polski“, biblioteki, poradnie prawne, pośrednictwa pracy i tak dalej. Na ten lep sporo ludzi dało się nabrać. W Kurytybie takim delegatem został nawet ksiądz. Niech mu tam Pan Bóg przebaczy!... Dużo złego tacy księża robią, ale przecież pomimo to masa kolonistów doskonale orientuje się, co się dzieje i jest nieprzejednana. To też, jak dotąd, „konsul“ reżimowy nie odważył się odwiedzić żadnej z kolonii... Żeby nam Polacy z miasta pomogli, żeby z nami kontakt utrzymywali, stworzylibyśmy tutaj siłę, która Polonii w Ameryce Północnej dać by mogła niemałe wsparcie...

— Widzę, że panowie doskonale orientują się w tym, co się dzieje.

Zaśmieli się.

— Przecież żołnierzami nie przestaliśmy być — odparł Andrzej — gdy do Kraju narazie wracać nie można, jesteśmy tu jakby na samodzielnym urlopie ... chwilowo...

Autobus zaczął podskakiwać na nierównym bruku. Ciemno już było zupełnie. Rzadkie latarnie uliczne miasteczka Irati migały i chwiały się. Wiatr dął od zachodu. Stary kolonista, ojciec Stacha, spał, zgięty na autobusowym siedzeniu. Mamrotał coś przez sen. Gdy samochód stanął nagle, zbudził się i rzekł do mnie na pół przytomnie:

— Tak panie, był tam las, były piniory...masztowe.

BOHDAN PAWŁOWICZ

SZCZYPTA HYPTA

NA ZJAZD WALNY

Środek czerwca
tak upalny,
a tu właśnie
nasz Zjazd Walny !

Nigdzie chmurki :
pali słońce
— stąd i głowy
są gorące...

A nam trzeba
zimnych głów
— nie płomiennych
mów i słów...

A nam trzeba
tu, do rady
zgody, współpracy
— nie zwady !

Świeżych myśli,
zdrowych sądów,
wolnej wymiany
poglądów,

Słusznej i twórczej
krytyki,
lecz nie —
podziału na kliki...

By wyrazić to
najprościej :
nam potrzeba dziś
jedności ! !

J. HYPT

KSIĄŻKI NADESŁANE

Liston M. Oak : Free and Unfettered? — an American Socialist on the Elections in Poland. Foreword by J. S. Middleton. Montgomeryshire Printing Co. Ltd., Newtown. Str. 57, cena 2s.

Co Słychać — miesięcznik, nr. 6, pod redakcją Wiktora Budzyńskiego. Str. 32, cena 9d.

Alina Nieduszyńska : Sprawa mostów — powieść. The Windsor Press, 1947. Str. 379, cena 15s.

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatele i Obywatelki ! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo ! Przyjaciele i wrogowie ludu ! Faszyści i czerwonoskórcy !

Moją paczkę od mydła przybrałem dziś w czerwcowe kwiatki, ozdobiłem bagnetem, jako że stary kombatant jestem, który z niejednej wojny chleb jadał i ma pełne prawo powitania odbywającego się w Londynie Zjazdu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Nazwałem siebie kombatantem, czyli człowiekiem, który nieraz wojował, wojuje i nie traci łączności z każdym sercem polskim wojującym. Brałem bowiem kolejno udział w następujących bojach : w bitwie pod Protegą, *w wyprawie* Anty-waseliniarskiej, *w ataku na* wzgórze Uświęconej Ignorancji, *w szturmie pod* Biurokratowem *i w ofensywie na* Papierkowo. *Walczyłem na białą broń z zawistnym i złośliwym zgrupowaniem dzikiego plemienia Megalomanów oraz brałem udział w skoku spadochronowym na silnie opancerzone pozycje Komiwojażerów sprzedających sprawę polską za judaszowe srebrniki na szerokim świecie.*

Musiałem, mili demokraci, powiedzieć coś nie coś o mojej legitymacji kombatanckiej, żeby upewnić was i siebie co do istotnego prawa powitania Zjazdu londyńskiego. Zjazd ludzi, którzy walczyli i dalej pragną walczyć o sprawę polską, wydaje się w tych straszliwych dniach roku 1947 czymś nieprawdopodobnym. Są to bowiem dni zoobjętnienia emigracji, marazmu społecznego, wygnańczego sobkowstwa i niepokojącego braku głębszych zainteresowań.

Co nam zostało z tych lat — obywatele ? Poker, „pool'e" *końskie i psie, wyścig w okpieniu bliźniego oraz szlachetna konkurencja w okazyjnym zdobyciu flaszki whisky po normalnej cenie.*

W takiej to chwili, gdy dosłownie wagę człowieka mierzy się nie na polskie kilogramy, ale na funty angielskie, gdy zmaterializowanie i cynizm osiągnęły trochę za duże rekordy, coraz częściej jesteśmy świadkami kompromitującego otępienia i zobojętnienia, jak : pustki na odczytach, kilkuosobowa frekwencja na zebraniach społecznych, słynna 5-cio osobowa reprezentacja Polonii londyńskiej na mszy żałobnej za duszę ś.p. Juliusza Osterwy i tp. i tp.

W takiej to chwili zbiera się w Londynie Zjazd Polskich Kombatantów, Żołnierzy z pod Falaise, Chambois, Monte Cassino, Ankony, Arnhem, z wielu innych kampanii drugiej wojny światowej. Są wśród nich bohaterowie wrześniowych bojów, są żołnierze Powstania Warszawskiego.

Pragnę wskazać Wam na ten Zjazd, mili demokraci, jako na symboliczny moment przełamania bierności i apatii. Pragnę w waszym imieniu powitać serdecznie tych pełnych wiary ludzi, którzy dzisiaj zbierają się w pogodnej stolicy zamglonego Imperium brytyjskiego, powitać jako rycerzy, których walka z bronią w ręku skończyła się, lecz przed którymi stoi nierozegrana znacznie trudniejsza bitwa o duszę ludzką, o charakter i serce człowieka, o godną przyszłość polskiego wygnańca.

Widownia na tym Zjeździe Polskich Kombatantów będzie znacznie większa od naszej skromnej garstki zebranej wokół mojej paczki od mydła, a jednak da ona tylko znikome wyobrażenie o tej potężnej gromadzie towarzyszy broni rozsianych w różnych krajach a dziś liczących bez mała 70.000 dusz. Czego życzyć im w waszym imieniu, obywatele i obywatelki, w dniach obrad londyńskich ?

Niech utrzymają łączność między Polakami na szerokim świecie. Niech krzewią ideę braterstwa i powszechnej równości, niech zapomną o rzeczach, które dzieliły, niech zapomną o stopniach, rangach, dyplomach i etatach, niech pamiętają natomiast o człowieku i o obywatelu.

Celem praktyczniejszego ujęcia sprawy rzucam kilka wniosków, które proponuję poddać pod uchwałę londyńskiego Zjazdu Kombatantów :

1) zebrani postanawiają stoczyć generalną bitwę z zielonymi stolikami i zorganizować bractwo anty-pokerowe w obozach i kasynach;

2) zebrani postanawiają przeprowadzić czystkę w brzydkich obyczajach okpiwania i wyzysku, które zakorzeniły się w pewnych sferach emigracji;

3) zebrani postanawiają skierować zainteresowania Polaków z torów wyścigowych na tory ideowe i naukowe;

4) zebrani będą się starali ochłodzić w terenie gorączkę złota i manię ukochania latających piesków, biorąc pod uwagę fakt, że w przeciwnym razie emigracja zejdzie ... na psy;

5) zebrani wyrażają nadzieję, że zarówno P.K.P.R. jak i P.P.R. są instytucjami chwilowymi, po których ślad zaginie, natomiast wierzą głęboko, że do rzeczy nieprzemijających zaliczyć jeszcze można braterstwo wspólnych walk i wspólną nadzieję lepszej przyszłości — pod warunkiem zrealizowania wniosków od 1—4 !

Obecnie nie pozostaje mi nic innego, jak prosić was, mili demokraci, o wzniesienie tradycyjnym obyczajem finałowych okrzyków, które w tym dniu niech brzmią w Hyde Parku, jak hasło do walki z apatią społeczną :

„Kombatanci — jedyni alianci !"

„Zadaniem kombatantów — nie dopuszczać do grand i do kantów !"

„Precz z kartami i pieskami — w wyścigu my sami !"

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

Począwszy od bieżącego numeru „Polska Walcząca" będzie drukować kącik rozrywkowy p.n. „Spróbuj..."

Rozwiązania należy każdorazowo przesyłać do czwartku następnego tygodnia (z tego numeru do dnia 26 czerwca b.r. — data stempla pocztowego) z podaniem nazwiska i dokładnego adresu. Koperty winny być adresowane do Redakcji „Polski Walczącej" (52, Halton House, 20-23, Holborn, London, E.C.1) i zaopatrzone w wyraźny napis „SPRÓBUJ".

Za prawidłowe rozwiązanie zostanie przyznana nagroda w postaci cennej książki ; w razie nadesłania kilku prawidłowych odpowiedzi — w drodze losowania.

*

Rozwiązania i nazwisko osoby nagrodzonej ukazywać się będą po 2 tygodniach (z tego numeru w nr. 26 „Polski Walczącej").

MAGICZNE DZIAŁANIE

Jak w poniższym odejmowaniu zastąpić litery cyframi, by rezultat był prawidłowy ?

```
   N A S Z
—  Z N A K
   -------
     S P K
```

COŚ DLA LOTNIKÓW...

Lecisz na „trójkąt nawigacyjny" w bezwietrznej pogodzie. Trasa jest tak dobrana, że stanowi trójkąt równoboczny. Na pierwszym boku lecisz z szybkością 200-tu, na drugim — 300-tu, a na trzecim — 400-tu mil na godzinę.

Jaka jest twa przeciętna szybkość ?

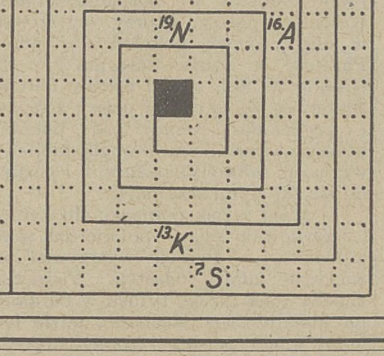
Spróbuj...

GEOGRAFICZNY TASIEMIEC

W poniższą „spiralę" należy wstawić 21 nazw geograficznych w ten sposób, by zaczynając od lewego rogu w dole, dojść do środka kwadratu.

Każde trzy kolejne nazwy liczą w sumie 18 liter ; ostatnia litera poprzedniego słowa jest jednocześnie pierwszą — następnego. I tak ostatnia litera osiemnastki (dla ułatwienia podana) — jest pierwszą literą następnej „osiemnastki".

Pisownia nazw zasadniczo polska. W wypadku pisowni oryginalnej — (o) podane przy objaśnieniu.



1. Stolica państwa w Europie.
2. Państwo w Ameryce Południowej.
3. Pasmo gór.

4. Miasto w zachodniej Belgii (o).
5. Duże miasto rosyjskie na płd.-zachód od Moskwy.
6. Najmniejsze hrabstwo w Szkocji (o).

7. Miasto na wschód od Warszawy.
8. Miasto w Szkocji.
9. Miasto w płn. Italii.

10. Miasto we Francji, w Pikardii (o).
11. Pustynia.
12. Morze (część m. Śródziemnego).

13. Miasto w Polsce.
14. Miejscowość w Belgii znana z porażki Napoleona (o).
15. Miasto w Rosji.

16. Miasto w północnej Afryce.
17. Rzeka w Niemczech.
18. Miasto w środkowej Anglii (o).

19. Miasto we Włoszech.
20. Miasto w Polsce.
21. Miasto w Rosji.

ANGLIA NA CODZIEŃ

DOŃCIU CHCE JECHAĆ NA ZJAZD

Wbrew wszystkiemu, co koledzy Dońcia myślą o nim i mówią, Dońciu jest energiczny, pełen inicjatywy i gotowości do pracy społecznej. — *Human, vital, dynamic* — jakby powiedział angielski reporter.

Na zebraniach członków kasyna Dońciu nie siada w głębokim fotelu z tyłu za krzesłami, żeby czytać gazetę, o, nie ! Dońciu bierze „żywy udział" w obradach i zawsze ma rewelacyjne lub zgoła rewolucyjne wnioski.

Na przykład, kiedy podczas wojny sadzono warzywa na kasynowych trawnikach w celu zaopatrzenia kuchni, Dońciu, amator groszku (takiego słodkiego, który można jeść na surowo) zaproponował, żeby na całym boisku piłki nożnej posiać *sweet peas* ; co zaskoczyło Anglików, bo *sweet pea* znaczy : groszek pachnący — taki kwiatek. A Anglicy zaraz myśleli, że to jeszcze jedna osobliwość polskiej kuchni — sałatka z groszku pachnącego, czy co ?

Dońciu nie wahał się w imieniu kolegów przedkładać *Wing Commander'owi* zażalenia na gospodarkę kasyna : członkowie mesy płacili 5 szylingów miesięcznie na sandwicze, które im podawano późnym wieczorem. Otóż te sandwicze niezmiennie zawierały pastę rybną o niemiłym zapachu. Dońciu skorzystał z najbliższego zebrania, aby prosić *Wing Commander'a* o interwencję :

— „*Sir ? — Five shillings — smell fish — nothing — you see !*"

Wing Commander pomyślał chwilę, po czym rzekł : „*I see* ..." co nie było prawdą.

Był to ten sam *Wing Commander*, o którym Dońciu kiedyś w rozmowie powiedział :

— „*O, I am a very good friend of mine*".

Chciał powiedzieć naturalnie : „*I am a very good friend of his*" albo „*He is a very good friend of mine*".

Na zebraniach kasynowych Dońciu był najczęściej inicjatorem i organizatorem każdego *party*. On jeden potrafił niezawodnie wyszukać okazję, rocznicę, imieniny, szczególne zdarzenie, które należało uczcić z kielichem w ręku. Jeśli przeszedł miesiąc bez *party*, Dońciu skarżył się : ducha w narodzie nie ma !

Dońciu miał tego ducha, co nawet stwierdził na jednym z zebrań wspomniany *Wing Commander* („*a very good friend of mine*"), wyrażając się o Dońciu : „*He certainly has a spirit*" !

— „Ba, żeby s p i r y t u s był — podchwycił Dońciu — to dopiero można by urządzić *party*, ale skąd tu spirytusu..."

Obecnie Dońciu uznał, że po latach pracy społecznej na terenie kasynowego baru czas przystąpić do działania na szerszym polu : niechże go wyślą na Zjazd Walny, jako delegata koła stacji lotniczej *Squeak-on-the-sea.*

— „Ale co tam będziesz robił ?" — zapytał kolega.

— „Już ty się nie bój ! — uspokoił go Dońciu — nie w jednym zjeździe brałem udział. Mogę być członkiem komisji b a l e t u j ą c e j ."

Kto wie, czy Dońciu nie pojechałby na zjazd, ale wszystko rozbiło się o niewygody podróży : *Squeak-on-the-sea* jest daleko w Szkocji i podróż do Londynu trwałaby całą noc. Dońciu powiedział :

— „Mogę jechać nocą, ale tylko k i p l i n g i e m".

— „Aleś się wygłupił — wyśmiali go koledzy — przecież k i p l i n g to wędzony śledź !"

I Dońciu zrezygnował ze zjazdu. Wobec czego można z ufnością patrzeć w przyszłość zjazdu i jego rezultatów.

RAD

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices) : 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń : 1 cal przez jeden łam — £1 10s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne : jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1 sh. za słowo, trzykrotne 1 sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy : jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1 sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earls Court Square, London, S.W.5. Tel. : FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper